

Dawid Juraszek

**Trupi jad**

*Pierwodruk w miesięczniku „Science Fiction, Fantasy i Horror”*

© Dawid Juraszek

[www.fantastykapolska.pl](http://www.fantastykapolska.pl)

Pałac w centrum Kaebongu, przywykły do ceremonialnych gestów i powolnej, dworskiej muzyki, trząsł się od wrzasku i tupotu. Szamanka wdziała właśnie na siebie kolejny strój, którego wściekle barwy gryzły się z gustowną kolorystyką siedziby władcy miasta, i podjęła dziki taniec. Zawodzenie płynące z jej krwawiących ust coraz bardziej gniewało Park Sung-hana.

Ale odziany w wytworne jedwabie książę nie dał niczego po sobie poznać. Siedząc na podwyższeniu, nieomal przytłoczony malowidłem przedstawiającym gorjońskie wzgórza, cierpliwie znosił kolejne przebieranki i popisy wokalne. Kobieta padła wreszcie zemdlona na żółty papier ogrzewanej podłogi.

– Co mówią bóstwa? – zapytał Park Sung-han przewodnika szamanki.

Mężczyzna pochylił głowę.

– Przyszłość jest chmurna, panie. Cztery rasy się zetną i cztery jednostki, ale po jednej jednostce na każdą rasę nie przypadnie. Pięć woli się zderzy i pięć celów, ale zmieniać się one będą lub stapiać w jedno. Zginie wielu i wielu przeżyje. Potężni ulegną potężniejszym. Skończy się dawna moc, ale nie narodzi się nowa. To przepowiedziały bóstwa...

– I cóż chciały mi przez to powiedzieć? – przez oblicze Park Sung-hana przemknął cień.

Opiekun cicho ponaglił sługę, by otarł zakrwawioną twarz szamanki chustą zmoczoną w orzeźwiającym wywarze z ziół, i spojrział przepaszająco na znanego z porywczosci księcia.

– Słowa te do ciebie, panie, zostały skierowane. Ty jeden potrafisz je pojąć. Tyle przekazały bóstwa. Więcej nie chcą przekazać. A może nie mogą.

Park Sung-han zacisnął szczęki. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– A Stary Cmentarz? Czy jego siły zdolne są pomóc? Czy też groźba jest zbyt wielka?

Mężczyzna znów pochylił głowę.

– Bóstwa już przemówiły... Wybacz, panie...

Z ulgą opuścił salę i pałac. Słudzy ledwo mogli za nim nadążyć, jeden podpierający omdlałą szamankę, drugi obarczony tobolem. Było południe. Choćby zajeździli konie na śmierć, do następnego miasta nie dotrą przed zmrokiem.

Nieważne.

Cokolwiek miały na myśli bóstwa, mężczyzna wiedział swoje.

Z zachodu nadciągała horda Mengutów.

I to najpewniej ich bóstwa okażą się potężniejsze.

\*\*\*

Kilkadziesiąt par ocz zlustrowało przybysza wzrokiem, w którym rychło pojawił się respekt. Bo chociaż ktoś inny w przykrótkiej szacie kąpielowej wyglądałby komicznie, to na potężnie zbudowanym białoskórym blondynie obcisły strój uwypuklał węzły mięśni mocarnych przedramion i łydek.

Cairen z godnością, na jaką stać tylko barbarzyńcę, zignorował spojrzenia i postąpił w głąb dusznej sali, znacząc posadzkę brudnymi śladami. Nie mył się od tygodni, ale na gorącą kąpiel zdecydował się dopiero, kiedy zawitał do Kaebongu. Klapnął na drewnianą ławę w rogu i zdjawszy białą szatę, odziany li tylko we własną skórę rozejrzał się po sali.

Wzgórze, którego jaskinie zaadaptowano na saunę geotermalną, z zewnątrz nie przedstawiało się imponująco. W środku mieściło jednak niezliczone sale i salki, gdzie Gorjończycy mogli się wygrzać, wykapać lub zwyczajnie wyspać, a także pozbyć owłosienia czy martwego naskórka oraz poddać się brutalnemu masażowi, nade zaś wszystko z lubością zatopić w dyskusjach. Czekać, aż przecinające posadzkę koryta wypełni woda termalna, siedzieli, leżeli lub przechadzali się nago, chłonąc promieniujące od wyłożonych jadeitowymi płytkami ścian i takiejże podłogi ciepło. Jesień na Półwyspie Gorjońskim nie zachęcała do spacerów na świeżym powietrzu.

Posadzka parzyła. Cairen wsparł muskularne stopy o drewniany podnózek. Nad starożytnym Kaebongiem piętrzyły się niebotyczne Śnieżne Góry, oddzielające przyłączoną do Imperium Menguckiego Goryo od mroźnych głusz Manczy i Xybelii. Choćby z samego tego powodu miasto powinno pachnieć modrzewiem. Tymczasem wystarczył jeden dzień w stolicy gorjońskiej kuchni, by Cairen do szpiku kości ogonowej przesiąkł wonią czosnku i pikantnej kwaszonej kapusty. Teraz chciał za wszelką cenę zmyć odór. Nawet jeśli już na drugi dzień po wizycie w najdroższej w mieście saunie znów będzie się odeń wręcz lepił.

Kiedy wszedł był do sauny i przebrawszy się, ruszył korytarzem do głównej sali, rzucił okiem w boczne pomieszczenia. Nie czuł w swym dotychczasowym życiu potrzeby poddania się peelingowi, ale obawiał się, że kilka dni na kaebońskim wikcie uczyni go podwójnie wyczuwalnym dla dzikiej zwierzyny. Nie wiązał z tym miastem przyszłości; prędzej czy później je opuści. A wtedy radykalne zabiegi będą konieczne, by przeżyć w dziczy.

Stuk, bulgot, spod ścian buchnęły białe kłęby, w koryta chlusnęła ciemna woda. Kolorem, ale i zapachem przypominała ścieki. Salę spowił tuman pary, osłonięte barwnymi lampionami świece zamigotały. Ruchome cienie zaczęły toczyć mrukliwe rozmowy, a zwisające ze ścian woreczki suszu roztaczać ziołowo-owocowy aromat.

Cairen poczuł, jak fetor wypływa zeń wraz z trudami wędrówki. Sięgnął po leżącą obok witkę, przymknął oczy i zaczął smagać miękkimi gałązkami swe potężne członki.

Kiedy temperatura sięgnęła niemal nieznośnego poziomu, opodał najemnika usiadła trójka Gorjończyków. Cairen przemierzał ziemie Półwyspu od kilku tygodni i zdążył podłapać sporo gorjońszczyzny. Pomogły mu w tym słowa pobrzmiwające jego rodzimym czungijskim, ale i naturalny dryg do języków. Teraz okładał się leniwie witką i korzystając ze swego niezwykle czulego słuchu rejestrował płataninę przyciszonych, lecz tętniących emocjami słów współsaunowiczów...

- Odkąd weszli tu Menguci, to jest już inne miasto.
- Nie no, wcześniej też był tu zamordyzm...
- E tam. Kimowie to przy Mengutach mały pikuś.
- Przestańże z tymi Mengutami! Dotąd nie zrobili nawet ćwierci tego, z czego słyną...
- Krótką masz pamięć! Ale ja pamiętam, jak trząsałeś hanbokiem, kiedy Menguci oblegali miasto, a potem udusili publicznie Kim Doo-Hyuna i jego rodzinę...
- Gdyby bez zwłoki poddał im miasto, nikt by nie zginął! Przecież wiedział, że kto się Mengutom nie podda, ginie nieuchronnie! Cudem Menguci oszczędzili miasto!
- Cuchnące mlekopije beczeszczą nasze ziemie! Chciałbyś im się poddać?!
- Żeby ocalić życie? Pewnie!
- O, to ty już jesteś u mię przegrany!
- Ej, spokojnie! Jacy w ogóle Menguci! W Kaebongu nie ma ani jednego! Przyjechali, zobaczyli, zwyciężyli, wyjechali! Rządzi nasz krajan, Park Sung-han! I to rządzi twardszą ręką niż menguccy namiestnicy w Czungii!
- A kto go zrobił księciem?
- Sroce on spod ogona też nie wypadł...
- I właśnie dlatego Menguci go zrobili władcą Kaebongu. Byle kogo mieszkańcy zrzuciliby z tronu po dwóch dniach. A teraz nie czyni nic innego, jak stara się być bardziej chanowski niżli sam chan, żeby go Menguci nie zastąpili swoim człowiekiem... Przekłety karierowicz!
- Sam widzisz!
- Co sam widzisz! Ty widzisz, co ci barbarzyńcy wyprawiają! Nastawiają jednego Gorjończyka przeciw innemu!
- Ja tam go nie bronię, ale zawsze to swój, nie obcy...
- I dlatego wolno mu dusić własny naród, żeby obcy nie dusił go mocniej?
- Przecież wiesz, że nie to chcę powiedzieć!

– No to czego go bronisz?  
– Jak to bronię?! Przecież mówię, że rządzi bardziej surowo niż Menguci!  
– A przed chwilą mówiłeś, że lepszy taki książę niż obcy!  
– Oj, daj spokój...  
– Chłopaki, ważne, że przez tego nadgorliwca nie można już nawet spokojnie napić się wina, żeby nie skończyć pod mieczem straży miejskiej...

Cairen odłożył witkę. W starciu z żeliwną twardością jego mięśni gałązki rozbiły się na pojedyncze włókna. Po saunie miał w planie udać się do gospody i przysposobić do snu tanim winem ze słodkich ziemniaków, by nazajutrz z nowymi siłami podjąć szukanie pracy. Wyglądało jednak na to, że Kaebong nie jest ostatnio najlepszym po temu miejscem. Lepiej będzie przespać się w saunie. Albo wręcz tu zapytać o pracę. Gdyby tak mieli wakat na stanowisku masażysty... Choć pewnie i tak skończy się na wykidajle.

– Co jak co, ale spokój w mieście zaprowadził, to mu trza przyznać...  
– Usunięcie tych paru pijaków i żebraków z ulic ma mu się chwalić?  
– Może nie?  
– A wiesz, że więzienia stoją puste?  
– Ciekawe dlaczego!  
– Bo za najmniejsze przewinienie płaci się gardłem!  
– Bzdura!  
– Nie bzdura, tylko prawda! Moja sąsiadka poszła zanieść jedzenie więźniom...  
– Że też idiotce nie szkoda łożyć na tych darmozjadów...  
– Ale nie wpuszczono jej, a kiedy zapytała znajomego strażnika, odpowiedział, że wszystkich więźniów zlikwidowano!

– Po co by ktoś miał robić coś takiego!  
– Słyszałem, że siepacze Park Sung-hana wywożą wszystkie ciała na Stary Cmentarz...  
Zapadła naraz cisza kazała Cairenowi wytężyć słuch. Kwestie polityczne, patriotyczne, policyjne i penitencjarne dość go zajmowały, ale chyba dopiero teraz rozmowa miała się stać naprawdę ciekawa.

– Nie boją się?  
– Jeżdżą rano, przerzucają ciała przez mur i zaraz wracają Północną Bramą do miasta...  
Znowu zapadła cisza. Wzmianka o Starym Cmentarzu musiała zrobić na dyskutantach nienajlepsze wrażenie.

– Jako dzieciak zakradłem się tam raz z kolegami. Podsadziliśmy się w kilku i zajrzeliśmy ponad mur. To żaden cmentarz! To jakaś przeklęta świątynia!

– I co widziałeś?  
– Domy takie, jakich się nigdzie nie buduje...  
– A stworzy jakieś?  
– Nie, stworów to nie...  
– Stwory! Bajek byś chciał słuchać?  
– To żadne bajki! Każdy ci powie, że Stary Cmentarz to siedlisko demonów.  
– To na pewno, ale że wyłazą i porywają ludzi z miasta, to już miejska legenda...  
– Mój dziadek tak zniknął!  
– A nie trafił czasem do sal tortur Kim Doo-Hyuna?  
– Mój dziadek był uczciwym mieszkańcem! Nigdy by...  
– Tu cię mam! Nie trafił, bo służył uzurpatorowi! Nic dziwnego, że jego wnuk...  
– Uważaj na słowa!  
– Ludzie kochani, przyszliśmy do sauny pogwarzyć, a tu wojna...  
– Sam ją wywołałeś! Po coś gadał o Mengutach...  
– Boś mię wyśmiał, jak chciałem podać nowy przepis na kimchi...  
– Nowy przepis to niech twoja żona poda mojej!

– Bo ty nigdy nie gotujesz może?  
– No od tej strony jeszcze ciebie nie znałem...  
– A chce ktoś przepis na kumys?  
– Czmychaj!  
– Nic w tym śmiesznego. Paru karczmarzy już to sprzedaje.  
– Liczą na nowych klientów...  
– No skoro sam ksiązę własnych poddanych morduje, by się najeźdźnikom przypodobać, to i karczmarze na to liczą...  
– Myślisz, że chcą nas tym śmierdzielstwem wytruć?  
– Żarty żartami, ale po co w ogóle Park Sung-han wyrzuca ciała na Stary Cmentarz?  
– Nie chce, żeby się ludzie zwiedzieli?  
– To też, ale musi być i inny powód...  
– A jednak demony!  
– I to właśnie mię nurtuje. To nie jest zwykły cmentarz...  
– Kto go w ogóle wybudował!  
– Mówią, że władcy Pierwszego Królestwa Goseon...  
– Coś ty! Dawno zamieniłby się w kupę gruzu...  
– Stary Cmentarz był tu, zanim Hwanung zstąpił z niebios, by przewodzić Goseończykom.

Cairen otworzył oczy. Głos dochodził z pustej, jak jeszcze przed chwilą sądził, ławy między nim a rozgadaną trójką. Mężczyzna potrafił skradać się jak skrytobójca. Albo to zmysły Cairena uległy czarowi sauny.

Trzech saunowiczów nie okazało jednak zdziwienia. Najwidoczniej włączanie się znikąd do rozmowy było w gorjońskich łaźniach codziennością.

– Skąd ta wiedza?

– Z ksiąg, bracia. I z poezji, którą tworzyli założyciele Kaebongu.

– No to kto zbudował Stary Cmentarz, jak nie Goseończycy?

– Tysiące lat temu syn Hwanunga, Wanggeom, odebrał te ziemie wcześniejszemu ludowi, który uszedł potem ku wybrzeżom i odpłynął w siną dal. Wtedy Wanggeom zakazał zbliżać się do miasta, nazwanego później Starym Cmentarzem, gdyż jak zapisano w księgach, drzemie tam pradawne zło.

– A skąd się takich rzeczy można dowiedzieć?

– Wiersze kupicie w każdej księgarni. Do ksiąg zaś dostęp mają tylko najwyżsi władcy i kapłani.

Znów zapadło milczenie. Sądząc po napięciu, jakie dało się wyczuć w przesyconym parą powietrzu, rozmowa przybrała nie tylko nieoczekiwany, ale chyba i niebezpieczny obrót.

– A ty kim jesteś?

Od odpowiedzi wybawiło tajemniczego saunowicza – a może dociekliwą trójkę – skrzypienie ciężkich drzwi. Para zrzędła, wydobyte z kłębów ciemne sylwetki eksplodowały krzykami oburzenia, które rychło ustąpiły jękowi strachu.

Skrzypienie okazało się bowiem wybawieniem pozornym.

– Z rozkazu księcia Park Sung-hana zostajecie skazani na śmierć za obrazę majestatu!

Cairen dostrzegł, jak do sali wsypuje się kilkanaście czerwonych krępych sylwetek w kapeluszach o szerokich rondach i z mieczami w dłoniach.

Kaebońska straż miejska.

Krępe sylwetki mógłby jakoś znieść.

Kapelusze też.

Ale na miecze miał uraz.

Czerwonostrojni rozbiegli się po wnętrzu. Luźne hanboki ze zwiewnymi tunikami rozgarniały kłęby uciekającej pary, utwardzane kapelusze przytrzymała zawiązana pod

brodą kokarda. Rychło kamienne ściany zawibrowały od krzyków mordowanych. Kilku oprawców podbiegło w kąt sali, gdzie trójka Gorjończyków przyłgnęła do siebie, spajając się w monstrialny, emanujący przerażeniem cień.

Jeśli strażnicy myśleli, że sylwetka obok to tak naprawdę pięciu kurczowo obejmujących się ze strachu Gorjończyków, to przeżyli gorzkie rozczarowanie.

A raczej nie przeżyli.

Gorąca mgła przybrała odcień strażniczego munduru, kiedy Cairen ruchem tak szybkim, że para skropliła mu się na pięściach, wgniół najbliższym strażnikowi nosy w głąb twarzoczaszek. Pół oddechu później głowy następnych spadły z ohydny odgłosem na wilgotną posadzkę, a Cairen kopał półtoraręczne miecze pod nogi saunowiczom.

– Wyrok na was już zapadł, teraz możecie tylko odwlekać egzekucję!

Korzystając z osłony rzędzącej pary, barbarzyńca w kilku susach dopadł pozostałych strażników i piorunem położył wszystkich trupem. Brązowa woda zmieniła odcień na jeszcze bardziej złowieszczy.

– Pozbierać miecze! – krzyknął i podbiegł do drzwi.

Wyjrzał na korytarz tylko po to, by bluznąć ordynarnie po czungijsku.

Kilkudziesięciu czerwonostrojnych opuszczało właśnie boczne salki. Ich miecze spływały krwią. Na widok uzbrojonego olbrzyma krzyknęli gromko i puścili się biegiem.

– Jest stąd drugie wyjście? – zawołał, trzaskając drzwiami. Brakowało w nich choćby najmarniejszego rygla.

– Jest. – Głos tajemniczego saunowicza brzmiał zaskakująco spokojnie. – Nawet i trzecie.

Cairenowi wystarczył jeden rzut oka. To nie urok sauny sprawił był, że mężczyzna usiadł obok niezauważony.

Większość saunowiczów kuliła się pod ścianą niczym porzucone dzieci. Obok drżał sześcióręki i sześcionogi zlepek desperacji – trójka gaduł. Zdobywcze miecze trzymali jak przedszkolaki pędzelki do pisania. Zaś pośrodku sali niecały tuzin pozostałych stał z bronią w garści, patrząc ze spokojem i ufnością na przewodzącego im mężczyznę.

W drzwi uderzyli czerwonostrojni, ale Cairen zaparł się mocno. Łomot odbił się echem po sali.

– Tam – mężczyzna wskazał mieczem kąt sali – jest przejście do basenów. Tam – wskazał odległą ścianę – jest kanał odpływowy do ogrodów.

Kolejny łomot, tym razem głośniejszy. Mocarne stopy Cairena zbielewały od nacisku.

– Duży ten kanał?

– Nie dość duży. – Mężczyzna uśmiechnął się niemal przepaszająco i machnął na swoich ludzi. – Powodzenia.

Oddział zbrojnych nagusów podbiegł pod ścianę. Czołgając się, znikali jeden za drugim w ciasnym przypodłogowym otworze.

Cairen zaklął, kiedy przy kolejnym uderzeniu w drzwi o mało nie dał przymusowego szczupaka w głąb sali.

– Pomóż mi tam który! – zawołał, ale ostatni zbrojny zniknął już w ścianie, a saunowicze stali jak bydło czekające na rzeź.

Nie miał wyjścia.

Ledwo przez salę przemknęło echo kolejnego uderzenia, które zdzierzył chyba tylko cudem, a już puścił się biegiem ku rogowi sali. Nic nie wskazywało, by w kamiennej ścianie były jakiegokolwiek drzwi, ale nie zdążył zwątpić w słowa mężczyzny, kiedy do sali wpadli czerwonostrojni. Wpadli dosłownie. Brak oporu zaskoczył ich kompletnie. Nie zdążyli się pozbierać z malowniczej sterty, kiedy Cairen dostrzegł, że grubsze fugi w kącie sali układają się w zarys prostokąta. Pchnął płytki i przez wybornie wkomponowane w ścianę drzwi puścił się korytarzem przed siebie.

Rychło zaczął kłać, na czym świat stoi. Korytarz wiodący do basenów nie był zwykłym przejściem; na takie szkoda byłoby projektantom i klientom sauny zachodu. Z sufitu zwieszały się przemyślną sztuką udane stalaktyty, nabijające olbrzymowi guz za guzem, posadzkę zaś wyłożono najróżniejszej wielkości i kształtu kamieniami, tworząc akupresurową ścieżkę zdrowia. Waga Cairena i prędkość biegu czyniły jednak ze zdrowotnego masażu stóp wyjątkowo perfidną torturę.

Szczyściem korytarz ustąpił nareszcie długiej sali basenów. Obszerne kadzie z zawartością o różnych barwach i konsystencjach wpuszczono w wapienną podłogę. Cairen wiedział, gdzie się znajduje. Nie zdołał przeczytać ulotki dostępnej w szatni, ale obsługa poinformowała go, że sauna oferuje kurację odmładzającą w dziewięciu magicznych basenach, od najgorętszego do najzimniejszego. Cairen zapamiętał tylko, że ostatni zwał się Basenem Nieśmiertelności.

Sądząc po kolorze i zapachu, pierwszy zwać się musiał Basenem Nieczystości. Wypełniająca go rozbulgotana brunatna ciecz wyglądała jeszcze bardziej obmierźle niż strumienie przepływające przez główną salę. Niemniej w tym i następnych basenach gęsto taplali się ludzie, którzy na widok barbarzyńcy jęli głośno wzywać obsługę. Nie zważając na harmider, Cairen przystanął i rozejrzał się bacznie.

Akupresurowe przejście nie było jedynym wiodącym ku tej stronie sali. Tuż obok zaczynał się drugi korytarz, szerszy i wyłożony cudownie płaskim jadeitem. Ani chybi prowadził do głównego korytarza. Na drugim końcu sali za zasłoną mgiełki widniał kolejny wchód.

Gdyby tylko Cairen miał czym skorzystać ze swoich umiejętności... W szatni czekał jego strój z doskonałej utwardzonej skóry i znakomite nipponskie noże do rzucania. W szatni czekali też jednak pewnie strażnicy. Z ekwipunkiem musiał chyba pożegnać się na dobre.

Decyzję tylko przyśpieszył tupot dobiegający od strony obu korytarzy. Strażnicy mieli zamiar zaatakować kolejną salę. Cairen ocenił dystans do drugiego wyjścia.

Jeśli którykolwiek ze strażników będzie miał łuk lub kuszę... Ustawił się obok wylotu ścieżki zdrowia, poprawił miecz w garści i wziął zamach.

Gdyby nie jego nadludzki refleks, gadatliwa trójka zamknęłaby usta na zawsze. W rękach mieli miecze, w oczach zaś przerażenie.

– Tam... na górze... wszystkich... – wybąkał jeden.

– Zablokowaliśmy drzwi – dodał drugi.

Trzeci nie zdążył nawet nabrać oddechu, kiedy za nimi rozległ się łomot i tupot. Z kolei tupot dobiegający z szerokiego korytarza zmaterializował się w postaci oddziału strażników.

Na widok olbrzyma i jego zbrojnej świty wpadający do sali czerwonostrójni zakrzyknęli tryumfalnie i wzniosłszy miecze, zaszarżowali. Oręż blondyna przeciął nici ich żywota lekko niczym pasma wirującej pary.

– Bieżajcie do wyjścia! – syknął beczynnej trójce, rzucając się ku akupresurowemu tunelowi. – Tylko mi zawadzajcie! I wygońcie resztę ludzi!

Nie zwracając uwagi na zamieszanie za plecami, skoncentrował się wyłącznie na właściwym przyjęciu nadbiegających siepaczy. Miał nadzieję, że upora się ze wszystkimi, nim z drugiego korytarza nadejdą posiłki.

Dopiero po piątym ubitym strażniku jego kamraci zorientowali się, że za załomem muru czeka śmierć. Tupot zastąpiły gorączkowe konsultacje. Cairen prychnął ze zniecierpliwieniem. Nie miał czasu na głupie gierki.

Z rykiem godnym tygrysa xybelijskiego rzucił się w korytarz. Sala zatrzęsała się od szczęku oręża, krzyku i wrzasku. Potem zapadła cisza, a barbarzyńca, pokryty krwią od stóp do głów, z purpurowym mieczem w jednej i kilkunastoma sztylcikami strażników w drugiej ręce, wyłonił się z tunelu i przychylniejszym okiem spojrzął na najbliższy, opustoszały teraz basen.

Zbliżał się właśnie do krawędzi, kiedy oto z szerokiego korytarza znów dobiegł tupot. Cairen zaczerpnął powietrza i w ślad za swoim mieczem dał nura w gorącą błotnistą maź.

Oddziałowi straży przewodził młody i energiczny, ale rozważny oficer. Nim jego dwudziestka czerwonostrójnych weszła do sali, wypchnął jednego strażnika, by dokonał rekonesansu.

– Zabici, naczelniku Seon! Wszyscy nasi zabici! – zaraportował zwiadowca.

– A niech to! – zaklął siarczyście Seon Hye-gong. – Do ogrodów! – zakomenderował i ruszył ku korytarzowi na końcu sali.

Cairen, którego twarz i ruchy doskonale maskowała bulgocząca powierzchnia brązowego błota, tylko na to czekał. Kiedy truchtający oddział Seon Hye-gonga ustawił się eleganckim rzędkiem nad brzegiem basenu, barbarzyńca odbił się od dna i z ogłuszającym rykiem zarzucił Gorjończyków maleńkimi, lecz śmiertcionośnymi pociskami.

Poziom błota podniósł się wyraźnie, kiedy w toni znikli bez śladu celnie trafieni. Ale kilku strażników, łącznie z dowódcą, wciąż stało na nogach. Nie czekając, aż pozbierają się po ataku, zanurkował, wymacał pozostawiony na dnie miecz i malowniczo wyłonił się z błotnistej piany. Dwa ciosy i kolejni strażnicy skończyli w basenie. Blondyn wyskoczył na brzeg i starł się z ostatnimi dwoma. Nie uszło jego uwagi, że Seon Hye-gong gdzieś zniknął. Nie zaprzętał sobie tym jednak głowy, dopóki ostatni szeregowi strażnicy nie zniknęli w błocie.

W sali zaległa cisza, przerywana tylko pękaniem bąbli gazu błotnego. Po dowódcy nie został nawet ślad. Cairen nie był jednak w ciemność bity i miał swoje podejrzenia. Powoli niczym kulawy żółw przesuwiał się w kierunku końca sali.

Cień w rogu basenu wypełnionego niebieską wodą był zbyt ciemny i dziwnie fioletowy. Cairen nie widział, co kryje się za krawędzią, ale mógłby dać głowę, że to głowa Seona. Strażnik niechybnie czekał, aż przy brzegu pojawi się stopa barbarzyńcy, by przekłuć ją wyszarpiętym z wody ostrzem.

Cairen doceniał spryt przeciwnika, ale miał inną wizję tego pojedynku.

Zebrał w ustach ślinę i splunął donośnie.

– Wyłaż, psie! – krzyknął po gorjońsku, ledwo plwocina zniknęła pośród koncentrycznych kręgów. – Walcz jak mężczyzna!

O brzeg brzęknął miecz. Seon Hye-gongowi nie śpieszyło się. Wyszedł z basenu powoli, jak gdyby miał przed sobą popołudniową drzemkę, nie walkę z półdzikim barbarzyńcą. Otaksował przeciwnika wzrokiem i uśmiechnął się.

– Cudzoziemski wojowniku, jeśli doceniasz gorjońską maestrię w sztuce mycia, niewątpliwie docenisz też gorjońską maestrię w sztuce walki.

I zanim Cairen zdołał kąśliwie zaripostować poprzez milczące wskazanie pobojuwiska za plecami, zaatakował.

Gorjończyk niewątpliwie znalazł się na szermierce. Cairena zasypały chłodno wykalkulowane ciosy, szybkie i zdradzieckie niczym jadowity wąż. Ale brakowało im siły i zasięgu, cechujących fechtunek barbarzyńcy. Seon Hye-gong natęzał się i czerwieniał, ale nie potrafił choćby drasnąć przeciwnika. Migdałowe oczy żarzyły się coraz płomiennie, perłowe zęby co rusz błyskały pomiędzy wargami. Cairen nieubłaganie spychał Gorjończyka na drugi koniec sali. Pojedynek pojedynkiem, ale chciał wykorzystać ten czas, aby znaleźć się maksymalnie blisko przejścia, które jak już wiedział, prowadziło ku ogrodowi. W każdej chwili do sali wpaść mogli kolejni czerwonostrójni.

Seon Hye-gong nie miał już wątpliwości co do przewagi przeciwnika. Wyczuł, że Cairen walczy z nim raczej by podszkolić swój fechtunek, niż o życie. Jego gładka twarz pociemniała, ramię jęło uderzać z całą dostępną mocą i szybkością.

Zbliżyli się do ostatniego basenu. Podczas gdy ciecz wypełniająca pierwszy aż parzyła, ostatni, idealnie bezbarwny, pokrywała cienka tafelka lodu. Od korytarza dzieliło Cairena już



tylko kilkanaście kroków. Zdecydował, że trzeba zakończyć ten sparing.

– Ochłoń trochę! – zaśmiał się i podstępny kopniakiem zepchnął przeciwnika do wody.

Toń bezgłośnie zamknęła się nad Seon Hye-gongiem. Sztubacki uśmiech spełził Cairenowi z twarzy, kiedy młodzieniec nawet nie próbował wypłynąć. Wykrzywiona sylwetka unosiła się przez chwilę w kryształowej toni, a potem opadła na dno i znieruchomiła.

Cairen przykucnął nad brzegiem i wyteżył wzrok. Nie widział ani śladu krwi. Czyżby to jego kopniak spowodował natychmiastową śmierć?

Wyciągnął rękę i przebił palcami kruchą taflę. Ból godny tysiącletnich sopli wbijających się w oczodoły przeszył jego jestestwo. Cofnął rękę.

Baseny istotnie były magiczne. I kto nie naładował się witalną energią we wszystkich poprzednich, ten w Basenie Nieśmiertelności spotykał swoją śmierć.

Barbarzyńca zerwał się, kiedy od korytarza dobiegł go odgłos kroków. Jeśli nawet po głowie kołatała mu się jeszcze myśl o dalszej walce, porzucił ją na widok napastników.

Ulicznych czerwonostrójnych zastąpiły oddziały specjalne. Czarne kombinezony ściśle przylegały do ciał, głowy okrywały ciasne czepce. Za plecami i u boków wisiał wszelaki oręż.

Cairen widział kiedyś czarnostrojnych w akcji. I wołał dmuchać na zimne.

Zanurzał się w mroku korytarza, kiedy w ścianę tuż koło jego głowy wbiła się strzała. Musiała być wybrakowana, bo takich fuszerów czarnostrojni nie brali w swoje szeregi. Rzucił się w istny labirynt tuneli i pomieszczeń, jakimi podziurawione było zaplecze wzgórze. Wreszcie dojrzał przed sobą światło dobiegające zza niedomkniętych drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Opadające zbocza wzgórze, pocięte tarasowymi kwietnikami, ograniczały widzenie, a wszystko tonęło w półmroku, ale i tak to, co zobaczył, zacisnęło mu szczęki.

Jak okiem sięgnąć, teren usłany był ciałami klientów i pracowników sauny. Trójka gaduł też tam była. Bronili się, choć nic im to nie dało.

...bieżajcie do wyjścia... tylko mi zawadzacie... wygońcie resztę ludzi...

Wpędził Gorjończyków prosto w kocioł.

Ale okrutni kuchmistrze przyrządzali teraz inne danie. Z oddali dobiegały odgłosy walki. Cairen zdecydował, że nie ma co zwlekać. Czarnostrojni byli coraz bliżej. Pchnął drzwi i ostrożnie wyszedł na zewnątrz.

Ogrody były spore i nie brakowało w nich drzew. Jak na złość, między wzgórzem a najbliższym skupiskiem zieleni zionął szeroki pas wolnej przestrzeni. Zapuścił żurawia za krawędź zbocza i poczuł lodowaty dreszcz.

Przez czas jego pobytu w saunie słońce nad Kaebongiem nie ustąpiła ani na jotę. Zresztą dlaczego miałyby – nadchodziła noc, była późna jesień, Śnieżne Góry bieleły się od lesistych podnóży po skaliste szczyty. Tu nie chodziło jednak tylko o zimne powietrze. Równie ważna, jeśli nie ważniejsza, była zimna i ostra stal w rękach czarnostrojnych. Liczny oddział oblegał kilku zaciekle się broniących nagusów. Pośród nich Cairen rozpoznał mężczyznę z sauny.

Spojrzał po sobie. Wciąż pokrywało go lecznicze błoto. Gdyby przedarł się pomiędzy drzewa, zdołałby jakoś wtopić się w otoczenie, umknąć uwadze...

Usłyszał za sobą tupot nóg. Nie miał już czasu na deliberacje.

Zerwał się i wystrzelił ku drzewom.

Zanurzał się już pomiędzy pnie, kiedy rozległy się krzyki. Został zoczony. Teraz mógł tylko biec jeszcze szybciej.

Wtem dojrzał przed sobą następną przecinkę, a za nią mur. Przecinka okazała się kolejną akupresurową drogą przez mękę, a mur zbyt wysoki, by dosięgnąć go nawet z wyskokiem. Zwłaszcza że o rozbieg na paskudnych kamiakach było trudno. Gdyby miał chwilę, spróbowałby wspiąć się na drzewo i rozbujawszy je, przeskoczyć nad drogą.

Ale dobiegające z tyłu krzyki nie pozwalały zapomnieć, że tego czasu nie ma.

Podbiegł do leżącego nieopodal ciała jakiegoś masażysty i zerwawszy zeń białą szatę, sycząc boleśnie dopadł do muru w miejscu, gdzie płaską górną krawędź wieńczył pokryty granatowymi dachówkami filar. Związał rękawy i dobrze wymierzył. Miał tylko jedną próbę.

I nie zmarnował jej.

Pętla z rękawów zaczepiła się o filar. W okamgnieniu był już na murze. Kiedy jednak szykował się do skoku na ulicę, tuż koło jego twarzy zderżyły się dwie strzały.

Z tyłu strzelali czarnostrojni, z przodu – czerwonostrojny kordon.

Niewiele myśląc o niesamowitym zbiegu okoliczności, który uratował mu życie, puścił się biegiem tam, gdzie dach jednego z domów zbliżał się do muru na rozsądną odległość. Jeden sus, i strzecha zachrzęściła pod stopami Cairena. Popędził ile sił w nogach po dachach budynków, byle dalej od obławy. Nie raz i nie dwa koło ucha śmignęła mu strzała. Czarnostrojni słynęli jako wyśmienici łucznicy, potrafiący bezbłędnie posłać w cel nawet cztery strzały z jednego łuku, ale ukryty w mroku i błyskawicznie zmieniający pozycje Cairen mimo swych gabarytów nawet dla nich był trudnym celem.

Odziani w codzienną biel Gorjończycy wieczierzający na dziedzińcach podnosili głowy i głosy, kiedy w pędzie przeskakiwał ich kompletnie nagi olbrzym z rozwianym włosiem, lśniącem krwawo mieczem w jednej i szatą w drugiej dłoni. Cichli i spuszczały wzrok, kiedy w ślad za nim pojawiali się czarnostrojni.

Cairen zaczął ucieczkę z przewagą, ale szybko ją tracił. Obolałe stopy krwawiły mu już od ostrych niczym drut strzech, gdy pogoń tarła sitowie butami na proch. Nie przestając słać w plecy uciekiniera strzały za strzałą, czarnostrojni nieubłaganie skracali dystans. Ale olbrzym mógł przeskakiwać dziedzińce, gdy Gorjończycy musieli je obiegać. Wybijając się kolejny raz do susa, Cairen dostrzegł naraz mroczniejsze na tle nieba kształty niskich wzgórz i nagich drzew obrastających ołowianą taflę jeziora.

Miejski park.

Tam mógłby zgubić pogoń.

Już po kilku chwilach z trzaskiem spadał na ozdobne krzewy przy murze parku. Przeturlawszy się, wstał na równe nogi i popędził pomiędzy zarośla i w las. Kiedy wbiegał na jedno z dziesiątek niewysokich wzgórz, usłyszał za sobą odgłos upadku. Czarnostrojni już podążali jego tropem.

Przez opustoszały park płynął strumień, nie niepokojony tamami ani umocnieniami, naturalny jak przed założeniem miasta. Tylko półokrągłe kamienne mosty spajały jego brzegi.

Cairen wbiegł z impetem do wody przy jednym z mostów, zostawiając na brzegu głębokie ślady stóp. Zerwał łądygę trzciny i oczyszczoną wbił w muliste dno, tak aby końcówka wystawała nad wodę. A potem złapał za krawędź mostu i wydzwignął się na górę, by po chwili zniknąć za następnym wzgórzem.

Czarnostrojni na pewno zmarnują trochę strzał na ukatrupienie ukrywającego się w wodzie uciekiniera.

Co ważniejsze, zmarnują też trochę czasu.

Szkoda.

Już tak niewiele im go zostało.

\*\*\*

Nie bacząc na kruchość żółtkłego papieru, Park Sung-han z trzaskiem zamknął starożytną księgę. Kurz jął kręcić go w nosie. Bezceremonialnie rzuciwszy tom na rzeźbiony stolik w rogu najwyższego pokoju baszty, wybiegł na balkon.

Słońce już zachodziło. Łukowato wygięte ku górze dachy pałacu rzucały drapieżne cienie. Książę oczekiwał rychłego przybycia gwardii z cennym jeńcem. Tylko czy ów jeniec

zechce zawierzyć zdrańcy...

Bezsilnie zacisnął dłonie na poręczy. Oślepiający dysk zanurzał się za horyzont, złocąc wysokie miejskie mury, korony parkowych drzew, pagody świątyń i dachy niezliczonych domostw. Niebawem, może już za kilka dni, zza tego samego horyzontu wyłoni się czarna horda. I tylko od waleczności księcia zależeć będzie, czy nie zaleje całego kraju.

Potrząsnął głową. Gdybyż chodziło tylko o waleczność... Tymczasem potrzeba było sprytu, opanowania, zimnej krwi. A Park Sung-han doskonale wiedział, że właśnie tych cnót mu brakuje. Po stokroć wolałby szarżować z wierną armią na wraże wojska, niż intrygować, zawiązywać haniebne strategiczne sojusze, obmyślać zamachy, wykrwawiać własny naród... i sięgać po ciemne moce.

Zwrócił wzrok na północ. W oddali ostatnie promienie oświetlały pradawne mury. Jeśli księża nie kłamała, wezbrane siły można będzie obrócić przeciwko nieprzyjacielowi.

Ale owe siły nie odróżniały przyjaciela od wroga.

Raz rozpetana zawierucha niełatwo da się uciszyć.

Park Sung-han spojrział w dół, na Kaebong.

Żeby uratować miasto, musiał je wpieryw narazić na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

\*\*\*

Gorjońskie oddziały specjalne były odpowiednio wyszkolone, by pomimo mroku dostrzegać ślady uciekinierów i demaskować ich kryjówki.

Ale nie miały do czynienia ze zwykłym rzezimieszkim.

Cairen uśmiechnął się, kiedy usłyszał jęk cięciw. Za chwilę czarnostrojni wejdą do strumienia i odkryją podstęp.

Ale wtedy będzie już za późno.

Zawiązawszy ostatni supeł na uczernionej błotem lince z podartej na pasy szaty roztopił się w mroku między pniami. Chwycił miecz, tak jak go tego uczył bamarski mistrz, i zamarł w czujnym spokoju.

Jeden z wojowników wszedł bezgłośnie do wody. Pełen pasji szept mógł oznaczać tylko jedno – Gorjończycy zorientowali się w fortelu. Przywódca krótkimi komendami rozbił oddział na dwie grupy. Po chwili na czele jednej przekroczył mostek za śladami Cairena. Nim zorientują się, że ścigany zatoczył koło, druga grupa nie będzie już istnieć.

Pozostali na tym brzegu czarnostrojni rozproszyli się i wyszkolonym latami morderczych ćwiczeń „przykucniętym” krokiem jęli penetrować park. Kiedy sylwetka jednego pojawiła się w prześwicie między pniami w odległości pięćdziesięciu kroków, Cairen odchylił i napiął ramiona w sposób, którego opanowanie kosztowało go udrukę dwutygodniowego obozu ćwiczebnego wypełnioną duchotą i deszczem, ukłuciami moskitów i ukąszeniami pijawek, połajankami i pochwałami mistrza Kyandharita.

Błoto mieszało się z krwią, kiedy czarnostrojny padł w ślad za swą głową na ziemię. Cairen złapał miecz szarpnięty z powrotem i ponownie znieruchomiał.

Odgłos padającego ciała przyciągnął drugiego Gorjończyka. Czarniejsza od nocy sylwetka wyłoniła się spomiędzy pni tylko po to, by w tej samej chwili legnąć w dwu nierównych częściach obok towarzysza.

Cairen zwinął sznur i hycnął za kolejny pień. „Frunąca Śmierć”, tajna broń wojowników znad Południowego Oceanu, zbierała żniwo tak samo dobrze w syamskiej dżungli, jak i gorjońskim mieście.

Śmierć dwóch czarnostrojnych nie przeszła niezauważona. Cairen nie musiał długo czekać, by wirującym na uwieży mieczem strącić trzecią głowę.

W parku zapadła cisza – jeśli za ciszę można uznać świst zimnego wiatru w nagich gałęziach. Być może już nazajutrz dzisiejszy deszcz zmieni się w śnieg.

Cairen miał ochotę zobaczyć z bliska gorjoński śnieg.

Czarnostrojni już go widzieli.

Ciszej niżli gekon smyrznął w głąb parku, gdzie w mroku rozpląnęli się pozostali wojownicy. Niebawem posłyszał kroki cichsze niż stąpanie pająka. Wytężył wzrok, ale nocna ciemność stopiła się już w jedno ze strojami oddziału specjalnego.

W ciemności coś drgnęło. Cairen intuicyjnie wymierzył dystans i dostosował doń kąt wychylenia ramienia oraz stopień napięcia mięśni. Jeden oddech dzielił go od rzutu, kiedy raptem barbarzyński instynkt kazał mu przykucnąć.

Lodowata stal rozciąła powietrze nad blond-czupryną i z nieprzyjemnym odgłosem wbiła się w pień drzewa.

Miecz Cairena z jeszcze bardziej nieprzyjemnym dźwiękiem wbił się w nogę niedoszłego zabójcy, wyciskając z ust usiezonego zdecydowanie najbardziej nieprzyjemny jęk bólu. Ale oto spomiędzy drzew wysypywali się już kolejni wojownicy z mieczami w dłoniach. Olbrzym zdołał tylko owinąć sobie sznur wokół dłoni, nim pierwsze starcie rozświetliło ciemności snopem iskier.

Gdyby nie wysoka wilgotność ściółki, park wnet stanąłby w płomieniach. Białozłote błyski wyławiały z nocnej toni nabrzmiałe pasją oblicza. Jeszcze nigdy Cairenowi nie przyszło walczyć z tak kunsztowną personifikacją namiętnej chęci mordy spojonej w jedno z chłodną i wykalkulowaną techniką. Czarnostrojni nie tylko potrafili poskramiać emocje, by nie wchodziły w paradę umiejętnościom; oni poznali sztukę ujarzmania śpiącej w każdym człowieku bestii i skanalizowania jej furii.

A na wylocie kanału stał Cairen.

Jeszcze stał, ale z każdym uderzeniem serca czuł, że lada chwila ugnie się pod roziskrzonym huraganem. Tylko jego barbarzyńska siła i znajomość wielorakich technik walki sprawiały, że czarnostrojni nie utoczyli zeń dotąd kropli krwi. Ale w każdej chwili czyjeś ostrze mogło przebić się przez ruchomą osłonę i ciało barbarzyńcy, czyjs błyskawiczny kopniak mógł umknąć jego uwadze i zgruchotać kości.

Musiał się wyswobodzić, nim wróci zaalarmowana hałasem druga grupa.

A to stanie się raczej prędzej niż później.

Naraz niczym błyskawica przemknęła mu przez głowę tamta chwila w czungijskiej stolicy, kiedy wojownicy Cesarza opierając się grawitacji wbiegli po filarach pałacowej sali i wykręciwszy pod sufitem efektowne salto, spadli za plecami zaskoczonych najeźdźców. Wtedy nie był w stanie nawet wyobrazić sobie, jak takiego wyczynu dokonać.

Ale wtedy nie znał jeszcze bamarskich technik oddechowych.

Ryknął i okręcił się po swojemu, oczyszczając mieczem teren wokół siebie, a potem zaczerpnął powietrza po samo gardło i ścisnął potężnie, aż mostek nieledwie przyłgnął mu do kręgosłupa. A kiedy poczuł, że w żyłach buzuje mu płynny ogień, w dwóch susach rozpędził się tak, że pień pod jego stopami zadrżał i pochylił się, wyrwanymi nagle z ziemi korzeniami przewracając zdumionych czarnostrojnych. Niczym wiatr frunął Cairen prawie pod sam wierzchołek i zwiesił się z konara na zgiętych nogach.

Wyczyn kosztował go wiele energii. W normalnych warunkach powinien teraz odpocząć; warunki bitewne nigdy jednak nie były normalne. Zaczął więc tylko spokojnie oddychać, by oczyścić płuca ze stężonego tlenu, równocześnie rozwijając sznur. „Frunąca Śmierć” z góry na dół działała gorzej niż poziomo. Ale działała.

Kiedy pierwszy czarnostrojny padł pod ciosem spadającego miecza, reszta oddziału rozproszyła się po okolicy. Cairen na darmo wypatrywał celu. Jego osłabione nadludzkim wyczynem ciało wracało do pełni sił.

Nagle ciemność obok przeszył pocisk. Gorjończycy sięgnęli po broń jeszcze bardziej dalekosiężną niż miecz na uwięzi barbarzyńcy. Strzelali prawie na oślep, ale z wystarczająco dobrym wyczuciem, żeby Cairen nie mógł czuć się bezpieczny. Nie drgnął jednak, nie

przytulił się do pnia, jeno wyteżył słuch.

Zimna krew została wynagrodzona.

Strzała nie zaczęła jeszcze kreślić krzywej opadającej, a już miecz pikował w miejsce, skąd doszedł jęk cięciwy. Zastąpił go jęk umierającego, i zaległa cisza. Nie na długo jednak. Kolejny jęk cięciwy, strzała, miecz, i kolejny odgłos agonii. Cairen czekał na trzeciego łucznika, ale nie docenił swych umiejętności perswazji. Czarnostrojni zrozumieli lekcję.

Blondyn zwinął sznur, a potem rozbijał się i brawurowym skokiem przemieścił na sąsiednie drzewo. W niemal absolutnej ciemności zakrawało to na szaleństwo, ale nie takie szaleństwa wyprawiał drzewny lud w dżunglach Wyspomorza.

Po kilku chwilach zostawił za sobą przyczajonych w mroku wojowników. Powietrze za nim przeszły strzały, ale był już zbyt daleko.

Miał właśnie dać susa na drzewa po drugiej stronie jednej z alejek, kiedy wyczuł w dole ruch nie wróżący nic dobrego. Był już prawie w powietrzu, ale w ostatniej chwili złapał się wyższej gałęzi i zamiast skoczyć przed siebie, zawisł wahlwie. W tej samej chwili poczuł na twarzy powiew kilkunastu strzał, które przeszły ciemność nad alejką.

Krew gotowała się w Cairenie, kiedy rozwinawszy sznur jął ciskać mordercze ostrze na oślepa. Krzyki i jęki były najlepszym świadectwem, że miecz trafia w cel. Kilka chybionych strzał pozwoliło mu ustalić, kto jeszcze śmie doń strzelać, i wybić mu to na zawsze z głowy. A kiedy ostatnia cięciwa zamilkła i szelest kroków przesunął się w głąb parku, zaczęło się prawdziwe polowanie.

Jakiegokolwiek zadanie czarnostrojni mieli do wykonania w łaźni, ich nowym zadaniem było ujęcie Cairena. I jeśli którykolwiek z nich przeżyje, żeby powiadomić księcia o groźbie, jaką stanowi niedościgły olbrzym, Cairen nie zazna już w Kaebongu spokoju.

Musiał wyeliminować wszystkich.

Bez względu na to, jak brzydził się zabijaniem uciekających.

Ale ci uciekający potrafili łąsać. Ledwo blondyn cisnąwszy mieczem wpół susa między drzewami pozbył się kolejnego czarnostrojnego, a poczuł na ramieniu chłód. Strzała przeleciała niebezpiecznie blisko. Wprawdzie łucznik po chwili już nie żył, ale sądząc po odgłosach, przy życiu wciąż pozostawało trzech Gorjończyków.

Kiedy kolejny padł od „Frunącej Śmierci”, pozostali rozbiegli się w dwie strony. Cairen skoczył za jednym, lecz znalazł się nagle na krawędzi przecinki zbyt szerokiej, by ją przesadzić. Uciekinier był szybki; kiedy nieopatrznie postawioną stopą wywołał plusk bagnistego kanału przecinającego park, puścił się sprintem, który w jednej chwili usunął go poza zasięg miecza Cairena. Barbarzyńca zazgrzytał zębami, objął mocno pień nogami, złapał sąsiednie drzewo za czubek i przyciągnawszy je ze skrzypieniem stawów i sęków do siebie, rozluźnił nożny chwyt, wystrzelając z impetem na drugą stronę.

Czarnostrojny nie przewidział takiego rozwoju wydarzeń. Pewny, że barbarzyńca nie przeskoczy przecinki, stał pośród drzew, szykując do rzutu sztylet. Nie zdążył pojąć rozmiarów swej pomyłki, kiedy miecz rozpołowił mu głowę.

Cairen otarł pot z czoła i w kilku małych zwisach zszedł na ziemię. Ostatniego wojownika wypadało ubić honorowo.

Ale ostatni wojownik dać się ubić nie zamierzał. W parku zapanowała cisza, niezmacona nawet podmuchem wiatru. Cairen zatrzymał się i wtopił w otoczenie, skanując okolicę najważniejszym ze zmysłów tropiciela.

Nadaremno.

Nie miał jednak najmniejszej wątpliwości, że ostatni przeciwnik jest niedaleko, może nawet kilkanaście kroków odeń, i stoi tak samo czujnie wyteżając słuch.

Ciszej niż liść odrywający się od łodygi, przykucnął i zawierając zmysłowi dotyku, przesunął dłonią nad ziemią. Patyczek wyczuł w samą porę, by nie wzruszyć go niepotrzebnie. Bezgłośnie uniósł dREWienko i cisnął w ciemność.

Stukot.  
Szelest.  
Ruch.

W czterech susach Cairen znalazł się przy czarnostrojnym i wymierzył morderczy cios. Ale wojownik nie był byle Kimem.

Pewność ruchów, z jaką odparował niespodziewane a potężne ciosy, znamionowała ogromne doświadczenie. Cairen błyskawicznie zmienił taktykę. Już nie zasypywał przeciwnika gradem straszliwych ciosów. Z dziką satysfakcją wysublimował swą technikę.

Milczące drzewa stały się widownią pojedynku dwu szkół walki. Różnych, ale równie skutecznych.

Cairen czerpał z obszernej skarbnicy doświadczeń zebranych w całej Czungii i nadbrzeżnych krainach Oceanu Południowego, na tropikalnych wyspach i statkach pełnych przybyszów z całego świata, wreszcie na archipelagu nipponkim.

Czarnostrojny sięgał głębiej, w tradycję jednej kultury, w tysiącletnie pokłady doskonałej i rafinowanej wiedzy wojowników Goryo.

Obaj stali na barkach olbrzymów.

I choć jeden z nich miał zginąć, zaden nie przynosił ujmy swym mistrzom.

Pojedynek trwał. Przyśpieszone oddechy pobrzmiwały pasją. Cairen zdwoił wysiłki – w każdej chwili do parku wejść mógł kolejny oddział czarnostrojnych – ale rywal nie ustępował. Wręcz przeciwnie, atakował z coraz większą mocą. Jego ciosy i kopniaki wibrowały najniebezpieczniejszą, bo ledwo hamowaną wściekłością.

– Ty mengucki psie! – syknął naraz czarnostrojny.

Cairen stracił rezon tylko na moment. To wystarczyło, by miecz Gorjończyka dziabnął go w nos. Rana była niewielka, zaledwie draśnięcie, ale barbarzyńca poczuł, jak trzymana dotąd na uwieży bestia jego natury zrywa łańcuchy. Z rykiem marszczącym powierzchnię pobliskiego stawu natarł na czarnostrojnego.

Tysiącletni kunszt nie wystarczył.

Klinga wojownika pękła.

Miecz Cairena zagłębił się w ruchomej czerni.

Ostatni z feralnego oddziału padł bez życia na ziemię.

Cairen otarł ostrze i puścił się biegiem.

Postronny obserwator z lampionem umknąłby w panice na widok nagiego olbrzyma z rozwianym włosiem i purpurowym mieczem w garści – istnego wcielonego szału.

Ale Cairen już ochłonął.

Zatrzymał się przy ciałach wcześniej ubitych. Najwyższy wojownik szczęśliwie został skrócony o głowę, a krwawiącym kikutem leżał w dół nachylenia terenu. Olbrzym ostrożnie, by nie zabrudzić, zdjął zeń ocalały strój. Poutykane w przemyślnie rozmieszczonych skrytkach sztylety nie ustępowały jakością nipponkim. Włożywszy z pewnym trudem elastyczny ubiór i wbiwszy nogi w ciasne buty, udał się dziarskim krokiem tam, gdzie spodziewał się muru odgradzającego park od ulicy.

Jego oblicze nie zdradzało najmniejszego śladu emocji.

Ale w głowie wciąż obracał niespodziewaną obelgę męznego wojownika.

\*\*\*

– Zostawcie nas.

W pełnej przepychu komnacie audiencyjnej władców z rodu Kim, a dziś Park Sung-hana, pozostało tylko dwóch mężczyzn. Młody, siedzący na złożonym tronie w świetnym stroju, spod ściągniętych troską brwi patrzył na drugiego, w średnim wieku, spętanego i na kolanach, który z szyderczym uśmiechem odwzajemniał spojrzenie.

Po kilku chwilach cisza stała się nie do zniesienia. Klęczący mężczyzna zmrużył oczy i parsknął:

– Wczoraj ostatni potomek upadłego rodu, dziś założyciel nowej linii władców! Ale twoi przodkowie w zaświatach wyją z upokorzenia. Wzięłeś władzę z ociekających krwią rodaków rąk najeźdźcy!

Park Sung-han zazgrzytał zębami.

– Uzurpatorzy Kim odebrali ją mym przodkom, prawowitym władcom Kaebongu. Teraz dzieje się sprawiedliwość!

– Sprawiedliwość – niemal splunął jeniec – stanie się, kiedy Menguci wrócą do swych jurty, a ty zdechniesz jak zdrajca.

Park Sung-han zamknął oczy. Żył na jego skroniach pulsowały szaleńczo. Ale ów młodzieniec potrafił panować nie tylko nad Kaebongiem.

Także nad sobą.

– Gdyby to ode mnie zależało – rzucił mocnym głosem – Kimowie nie zginęliby, a żaden Mengut nie uszedłby z tych ziem żywy.

Wstał i zdjął ze ściany kamienny miecz. Prastare ostrze pokrywał kurz, ale krawędzie wciąż lśniły złowieszczo.

Mężczyzna klęczał spokojnie, kiedy Park Sung-han podszedł doń z tyłu i dwoma ruchami rozciął pęta na rękach i nogach.

– Yee Du-Hee, twe zbrodnie w tym i każdym innym mieście ulegają dziś zapomnieniu. O ile zgodzisz się wystąpić ze mną przeciw Mengutom.

Uwolniony wstał rozcierając nadgarstki i spojrzał w twarz Park Sung-hanowi.

– A więc istotnie dusisz własny naród, by obca dłoń nie dusiła go bardziej.

– Ja chcę, by mój naród zaczął oddychać pełną piersią.

\*\*\*

Przymały strój pił Cairena niemiłosiernie, ale sytuacja nie pozwalała na poprawki krawieckie. Zresztą był to i tak drobny kłopot przy karaluchach, żerujących w najlepsze na ciele ukrytego pod strzechą barbarzyńcy.

Sauna znalazła się w oku cyklonu. Cały Kaebong pełen był strażników, pędzących nie tylko w tę i we w tę, ale i pędzących przed sobą zbrodniarzy winnych sprzeniewierzenia się woli księcia. Plan Cairena, by jak najszybciej opuścić miasto, uległ daleko idącym modyfikacjom. Długo trwało, nim zdołał opuścić bogate dzielnice Kaebongu. Jeszcze dłużej nawigował w wąskich uliczkach, by ujrawszy wreszcie wzmożone patrole przy Północnej Bramie, wdrapać się na nieodległą rudę i zaszyć pod dziurawym dachem na wypełnionym gratami strychu. Jak pokazał jednak świt, strych znajdował się nad cuchnącym targowiskiem, które powstało jakby z niczego wraz z pierwszymi bladymi promieniami słońca.

Cairen odwrócił wzrok od ludzkiej szpetoty i wyginając kark spojrzał ponad miejskim murem ku bezkresowi gorjońskich wzgórz, rozfalowanych niczym zmrożone w ułamku chwili rozhukane morze. Dalej, we mgle, pod niebo wzbijały się srogie Śnieżne Góry.

Ale niżej, na wschód od traktu prowadzącego ku przełęczy, jaśniał w chłodnym porannym słońcu wysoki mur.

To musiał być ów Stary Cmentarz.

Ponad obrośnięty chaszczami mur wystawał czubek wieży. Nie była to świątynna pagoda, barwna i odpędzająca duchy zakrzywionymi krawędziami okapów. Wzniesioną ze złotawego kamienia wieżę dziwacznie wyoblono. Gładka bezokienna powierzchnia kazała się domyślać pomnika raczej niż budowli mieszkalnej.

Cairen poczuł dreszczyk podniecenia. Pasjami uwielbiał zaginione miasta i tajemnicze ruiny. Jeśli prawdą było to, co usłyszał w saunie, miał przed sobą dzieło rąk nieznanego rasy.

Kto wie, jakie skarby i niebezpieczeństwa czekały wewnątrz.

I kto wie, jak się tam dostać, pomyślał niewesoło. Bo dostać się tam byłoby warto nie tylko z powodu domniemyanych bogactw. Miejsce, które napawało Gorjończyków strachem, było zarazem idealną kryjówką dla cudzoziemca. Nawet jeżeli kaebońska straż podjeżdżała regularnie pod mur pozbyć się ciała.

Hm.

Spojrzał przed siebie. Jedna z głównych arterii miasta była tylko jeden szereg domów dalej. Którędy, jeśli nie tędy, jechać będzie wóz z trupami? Gdyby tak...

Zamrugał. Oto jak na zawołanie w jednym z prześwitów między budynkami mignął długi wóz drabiniasty, spomiędzy którego szczebli bezładnie wystawały ludzkie kończyny.

Niewiele myśląc, ześlizgnął się po wilgotnej ścianie zaułka i wypadł na targowisko. Na widok odzianego w czerń olbrzyma straganiarze podnieśli wrzawę. Nieporuszony puścił się biegiem, potrącając tłoczących się ludzi, strącając kilka mis z rybami i o mało nie wytrącając kramarzowi tacy z psimi łbami. Zostawił wreszcie za sobą ostatnie stoiska i zwolnił, by przyczać się w wąskiej uliczce przy głównej drodze.

Jeśli za wozem nie będzie nikogo lub jeszcze lepiej, tuż-tuż jechać będzie kolejny wóz, to korzystając z osłony...

Nie dokończył rozumowania, bo oto pojawiła się chabeta, potem czterech czerwonostrojnych na koźle i sam wóz z trupami. A za nim kolejny wóz, z dwoma wołami w zaprzęgu, drzemiącym furmanem i ładunkiem beczek.

Cairen dał nura i już po chwili leżał na stercie ciała, silnie zaciskając powieki i usilnie wmawiając sobie, że jest zupełnie gdzie indziej.

Wóz włączył się w człowieczy strumień sączący się przez bramę, by po krótkiej acz emocjonującej chwili wyjechać na trakt wiodący ku północy.

Cairen odetchnął w myślach i jął zastanawiać się, co dalej.

Mógł zepchnąć z kozła strażników, wyprzeznąć w biegu chabetę i zawadiacko pomknąć w siną dal. Mógł udawać trupa do samego końca, kiedy strażnicy będą chcieli przerzucić go przez mur, by zaskoczyć ich nagłym powrotem do życia i zgryźliwym komentarzem, a potem ubić. Mógł wreszcie odczekać, aż przy drodze pojawią się jakieś zarośla i niepostrzeżenie zeskoczyć.

Wybrał to ostatnie rozwiązanie.

Dopiero kiedy w polu widzenia pojawił się cmentarny mur, pod sam trakt podpełzły bezlistne już, ale gęste krzewy. Cairen wyczekał na odpowiedni moment i sturlał się bezgłośnie w błoto.

Kiedy wóz oddalił się na bezpieczną odległość, blondyn wstał i podszedł do muru. Gładka złotawa ściana wysoka była na dwóch chłopa. Chłopa bynajmniej nie gorjońskiego. Cairen ugiął nogi, sprężył się i wybił w powietrze. Nawet wtedy nie zdołał choćby musnąć dłonią najeżonej ostrymi odłamkami krawędzi muru.

Trzeba było poszukać bramy. Ruszył wzdłuż traktu, umiejętnie wtapiając się w otoczenie.

Wóz zajechał już przed kompletnie zaśniedziałą bramę. Czterech czerwonostrojnych wstało z kozła i przeszło na tył. Pochyliwszy się, podnieśli pierwsze ciało. Kilka solidnych wahnici i trup przeleciał nad murem, upadając po drugiej stronie z mdlącym łoskotem.

Cairen nie znał gorjońskich obyczajów pogrzebowych, ale bezceremonialne wyrzucanie zwłok za mur prastarej twierdzy na pewno nie należało do obyczajów dobrych.

Zwłaszcza jeśli w ciałach tliło się jeszcze życie.

Pośród pokrzykiwań strażników i skrzypienia wozu ozwał się naraz jęk. Czerwonostrojni jakby nigdy nic kontynuowali robotę. I kiedy nagi mężczyzna, rozbujany ich bezlitosnymi rękoma, zaczął wołać pomocy, zgrzytający coraz głośniejszymi zębami Cairen nie wytrzymał.



– Wy psy! Ten człek jeszcze dycha!

Strażnicy na widok wyskakującego z krzaków muskularnego czarnostrojnego zrazu zgłupieli. Konsternacja nie trwała jednak długo.

– To ten, co był w saunie – mruknął jeden.

– Musiał odrzeć kóregoś z naszych – dodał drugi, wskazując na ubiór Cairena.

– Będzie go ciężko przerzucić – zauważył trzeci.

– Ale za to ile on ma w sercu mocy! – zawołał czwarty.

Te ostatnie, dziwnie liryczne słowa przeważały szalę. Strażnicy rzucili jęczącego człowieka z powrotem i zeskoczyli z wozu, dobywając mieczy. Nie zaatakowali jednak od razu. Wpierw rozdzielili się. Po chwili Cairen stał plecami do muru, otoczony z trzech stron.

I z ponurym uśmiechem na twarzy.

Czerwonostrojni nie dorównywali swym odzianym na czarno kolegom, ale ta czwórka była zgrana jak stara lutnia. W natarciu uzupełniali się, atakując zdradliwie i niemiłosiernie. Gdyby nie duże doświadczenie i naturalny dar do ubijania, Cairen leżałby już po tej albo i drugiej stronie muru, krwawiąc skwapliwie.

Ale oto już pierwszy Gorjończyk padł na trawę, ściskając słabnącymi dłońmi rozplątany brzuch. Już drugi legł gulgocząc poprzez tryskającą mu z gardła krew niczym rozsierzony indor. Rychło dołączył doń trzeci, rozsierzony od ciemienia aż po żuchwę, i wreszcie czwarty, przebity po prostu na wylot.

Zapadła cisza. Od miasta dobiegało tylko wołanie świątynnego dzwonu. Cairen ocierając kroplę potu z brwi podszedł do wozu.

I zaklął.

– No i po co ta cała awantura – burknął, szturchając dla pewności mieczem ciało leżące na szczycie stosu trupów.

Mężczyzna, który jeszcze przed chwilą wzywał pomocy, w trakcie walki mającej na celu mu tę pomoc przynieść wyzionął niewdzięcznie ducha.

Cairen rozejrzał się po reszcie ciał. Oprócz biedoty i chorych na wozie spoczywało też kilka osób, które miał przyjemność poznać w saunie.

Nie tylko klientów.

Także strażników.

Kręcąc głową, przyjrzał się wrotom z brązu w poszukiwaniu ćwieków, wypustów czy zagłębień. Nadaremno. Sama warstwa śniedzi była gruba i nienaruszona. Bramy nie otwierano od niepamiętnych czasów.

Jedno było pewne.

To miejsce nosiło nazwę cmentarza.

Ale miało wszelkie cechy warownej osady.

Cairen wrócił do świeżo ubitych czerwonostrojnych. Nie potrzebował podwyższenia, by okręciwszy się kilka razy, wystrzelić trzymanego za nogi strażnika za mur.

– Przyszła zima na Kima – mruknął, kiedy ostatni ludzki pocisk upadł z łomotem po drugiej stronie muru.

Zastanawiał się właśnie, co zrobić z ciałami na wozie, kiedy czujnym słuchem wyłapał szelest.

I kroki.

Po drugiej stronie muru ktoś się ruszał.

Cairen dokonał w głowie szybkiego przeglądu ran zadanych strażnikom. Żaden nie miał prawa przeżyć, zwłaszcza po doprawieniu upadkiem z wysokości.

Za murem bez ochyby coś się jednak poruszało.

Choć sądząc po odgłosach, nie był to człowiek.

Cairenowi włosy stanęły dęba, gdy wtem zza muru dobiegł warkot, a zaraz potem straszliwa kakofonia pisków, skomleń i wycia. Później dołączył do niej odgłos rozdzieranych

łakomie ciał i chłęptanej z lubością krwi.

Barbarzyńca dobył miecza gotów do odparcia ataku. Ale brama pozostała zamknięta. Jakiegokolwiek tłumy kłębiły się za murem, delektowały się dopiero co zrzuconymi trupami, nie myśląc o wyjściu.

Cairen splunął ze wstrętem. Zabijanie rozumiał i nie stronił odeń, ale jedzenie trupów nie mieściło się w jego barbarzyńskim kodeksie. Odwrócił się i ignorując odgłosy ohydnej uczty, spojrział ku miastu.

Zbliżał się kolejny wóz, a na nim czerwień. Czas znów naglił.

Cairen wypiął z zaprzęgu konia i ruszył ku wzgórzom. Chabeta była marna i nieosiodłana, ale i tak pozwolił szybciej znaleźć kryjówkę.

Bo coś kazało Cairenowi nie opuszczać Kaebongu na dobre.

A jeśli ten znający życie barbarzyńca ufał czemukolwiek, to tylko własnemu instynktowi.

\*\*\*

– Cesarz potrzebuje czasu, żeby ufortyfikować Świątłą Wyspę. Jeśli Kaebong nie przepuści Mengutów na południe Półwyspu, dwór zdąży się przygotować.

Yee Du-Hee potoczył poważnym wzrokiem po zgromadzonych. Dla niewtajemniczonego oka, mężczyźni odziani w proste, białe hanboki mogli być ubogimi intelektualistami, którzy zebrali się, by porozmawiać o poezji, lub drobnymi przedsiębiorcami, chcącymi krzepiąco ponarzekać na niepokoje w interesach. Wierchuszka kaebońskiego tajnego bractwa zgromadziła się jednak w niepozornym budynku w centrum miasta, by omówić sprawy wielokrotnie większej wagi. Zwykle takie zgromadzenia były ryzykowne; nalot czarnostrojnych mógłby skończyć się odcięciem bractwu głowy. Ale nie tym razem.

– Menguci nie tolerują oporu – zauważył Lee Joo-eun, wąsaty mistrz kuszników. – Nawet jeśli odeprzemy pierwszy atak, wrócą z większymi siłami.

– Być może – skinął głową Yee Du-Hee – a być może nie. Za całą Północną Czungię, Manczę, Xybelię, Nipponię i Goryo odpowiada od niedawna jeden tylko chan: Burudaj Dwie Blizny. Menguci dawno rozdzielili siły. Wielki Chan prze na kraje Południa, zajęty jest butną Kmerią. Reszta nomadów ruszyła ku nieznanym ziemiom na Zachodzie. Zbyt wielu Mengutów szeszło u brzegów Nipponii, żeby ryzykowali dalszy podział sił. Jeśli Burudaj zginie, nie podporządkowawszy sobie ostatecznie Półwyspu, na lata uwolni to nas i naszych sąsiadów od menguckiego zagrożenia.

– A jeśli Burudaj zwycięży? – zapytał Lee Joo-eun. – Kaebong zostanie puszczone z dymem, nikt nie ujdzie żywy. Cesarz się przygotowuje, ale co trupom po Cesarzu?

– Goryo już i tak naraziła się Mengutom – mruknął Pak Dak-Ho, głowa finansów bractwa. – Chan obiecywał pokój w zamian za hołd i zakładników z cesarskiej rodziny. Tymczasem Cesarz wciąż posyła mu tylko dziesiąte wody po płukaniu ryżu! Wystarczy iskra, żeby Menguci rozpętali na naszej ziemi piekło!

– Park Sung-han obiecuje, że zapomni nam nasze przestępstwa – dodał wąsacz. – Ale jeśli pokonamy Mengutów, może nie chcieć podzielić się chwałą. Przeciwnie, na fali tryumfu najpewniej przedłuży działania wojenne i skieruje je przeciw nam.

Pak Dak-ho spojrział poważnie na Yee Du-Hee.

– Już i tak o nas, o tobie, wie zbyt dużo. W razie wygranej, nasz los nie jest pewny. W razie przegranej, miasto przestaje istnieć. Za to jeśli Menguci pokojowo przejmą zarząd...

– ...najpewniej zniszczą nas tak, jak zniszczyli triady w Czungii – potrząsnął głową Yee Du-Hee. – Menguci nie hołubią tajnych stowarzyszeń. Nie mają też zmiłowania dla miast stawiających opór, to prawda. Pamiętajcie jednak, bracia, że choć Kim Doo-Hyun ociągał się

z otwarciem im bram, zamordowali tylko rodzinę panującą. Menguci potrzebują Kaebongu. Zaś Park Sung-han nie uszanuje umowy, to pewne. Ale czy my musimy ją uszanować? Czy powinniśmy ją uszanować? – uśmiechnął się paskudnie. – W bitewnym chaosie naturalną rzeczą jest śmierć władcy miasta. Nikt nie będzie po nim szlochał. Jako pogromca Mengutów bez trudu zapewnię nam nie tylko nietykalność, ale i wpływy, o jakich wam się nie śniło. A jeśli będzie trza, zapewnię nam to samo jako mengucki sprzymierzeniec.

Zapadła cisza. Zgromadzeni przeżuwali ważne słowa. Wreszcie odezwał się Lee Joo-eun.

– Powiedzmy, że Kaebong wystawi przeciw Mengutom siły Park Sung-hana i nasze. Jak długo możemy opierać się Burudajowi? Jego wojownicy dowiedli swej wartości w miastach większych i bogatszych!

– Zaatakujemy znienacka. Burudaj zostanie przyjęty z największymi honorami. Menguci od początku mieli Park Sung-hana za marionetkę i dotąd go nie przejrzeni. My zresztą też...

– A może to fortel Park Sung-hana? – przerwał Pak Dak-ho. – Może ukartował to razem z Burudajem, byśmy wyszli z ukrycia i wystawili się na cios?

Yee Du-Hee pokiwał głową.

– Wziąłem to pod uwagę. Menguci mają swe sposoby, by wyrugować tajne bractwa i nie potrzebują po temu skomplikowanych intryg. Skądinąd wiemy, że wśród zabitych w saunie było wielu menguckich szpiegów. Reszta dostała wiadomość, że Park Sung-han jako lojalny namiestnik ostro zwalcza niebezpieczne elementy w Kaebongu, przygotowując miasto na przyjęcie chana. Nie dojdą, że nalot na naszą saunę był tylko pretekstem, by dotrzeć do mię. Zwłaszcza że to naprawdę mocny cios w bractwo.

– Otóż to. Park Sung-hanowi nie można ufać! – zacharczał milczący dotąd zaopatrzeniowiec, Jung Chin-hwa. – Gdzie są ciała zabitych w saunie, gdzie mój syn! Jeśli ten psi pomiot nie honoruje pochówku, jak ma honorować pakt!

Yee Du-Hee pochylił czoło.

– Boleję nad Jung Bon-hwa, jak i nad każdym bratem, który zginął z rąk gwardii Park Sung-hana i nie został należycie pochowany. Widziałem jednak, jak wśród ciał zabitych w saunie wnoszą też czerwonostrójnego kochanka Park Sung-hana i jak razem ze wszystkimi zostaje on załadowany na wóz i odwieziony na Stary Cmentarz.

– A więc prawdą... – zapytał i nie dokończył wąsacz.

– Przeciw Mengutom nie będziemy walczyć sami – pokręcił głową Yee Du-Hee. – Park Sung-han odczytał stare księgi. Stary Cmentarz kryje siły, którym nie oprą się nawet Menguci.

– Czy te... siły – mruknął Pak Dak-ho – dadzą się okiełznać, kiedy już wykonają swe zadanie?

– Menguci mają zginąć p o d murami Kaebongu.

– Chan nie z takich opałów wychodził... – rzucił z powątpiewaniem Lee Joo-eun.

– Park Sung-han dopilnuje, by Burudaj nie dożył bitwy.

Znów zapadła cisza. W oczach zgromadzonych pełgała ponura determinacja. Najbliższa przyszłość zapowiadała się krwawo. A przyszłość dalsza będzie albo lepsza, albo żadna.

– Został jeszcze jeden problem – chrząknął wąsacz. – Mengucki szpieg, cudzoziemski olbrzym...

Yee Du-Hee potrząsnął głową.

– To nie mengucki szpieg. To najemnik, przybyły tu niedawno z południa w poszukiwaniu pracy. Ludzie Choi Chin-Mae już go zlustrowali. Widziałem, co potrafi, warto byłoby go nająć.

– Dziś rano umknął ku północnym wzgórzom – mruknął Lee Joo-eun.

– I miejmy nadzieję, że nie dalej – uśmiechnął się Yee Du-Hee – bo może trza będzie

poń posłać.

\*\*\*

Cairen sprawdził wytrzymałość linki przytrzymującej ciężki konar, zamaskował ślady swej roboty i skierował się z powrotem. Rano w pułapce powinien znaleźć śniadanie. I miał nadzieję, że będzie to raczej zwierzyna płowa niżli futerkowa.

Wilgotny i zimny wiatr przyprawilby o dreszcze każdego nagusa, ale Cairen stąpał przez niegościnnie krajobraz w stroju Adama i dobrym humorze. Pod szczytem wzgórza ktoś wznosił dawnymi czasy pawilon widokowy. Dziś sporą część pejzażu przesłaniały rosnące w siłę samosiejki, ale i tak można było sięgnąć wzrokiem wzdłuż prowadzącej ku przełęczy drogi aż po sam Kaebong. Gdyby ktoś miał wysłać za Cairenem pościg, zastanie na wzgórzu już tylko wspomnienie po barbarzyńcy.

Blondyn usiadł na kamiennej ławeczce pod dachem oprószonym mokrym śniegiem i obmywszy się w źródelku sączącym się z postumentu w kształcie kielicha kwiatu, rozejrzał się po okolicy. Po lewej stronie falował obciążony kamieniami czarny strój, odsyłając z wiatrem woń czosnku. Po prawej na resztkach zbutwiałej zieleni pasł się koń. A na wprost rozpościerała się kotlina. I choć wzrok obserwatora mógł błądzić po malowniczych wzgórzach, meandrujących rzekach i mozaice pól, to Cairen patrzył tylko w jedno miejsce.

Na Stary Cmentarz.

Czy raczej miasto.

Bo z wysokości wzgórza wieża w centrum kwadratu murów okazała się tylko jednym z niezwykłych budynków za zaśnieżoną bramą.

Ktokolwiek tam mieszkał, jeśli chodzi o architekturę miał nieludzki gust.

Albo wręcz nie był człowiekiem.

\*\*\*

Ściągnięta troską twarz Park Sung-hana wyglądała jak rzeźbiona w granicie. Z balkonu pałacu książę obserwował, czy wszystko toczy się zgodnie z planem. Jak dotąd wydarzenia naginały się do jego woli. Zaczerniająca wzgórza horda mengucka rozłożyła się obozem pod murami, a chan wjechał przez Zachodnią Bramę tylko w otoczeniu świty. Jeśli jednak legendy owiewające Burudaja miały w sobie choć ziarno prawdy, to najtrudniejsze Park Sung-han miał dopiero przed sobą.

Książę uzupełnił paradną zbroję hełmem z czerwonym pióropuszem i zszedł przywitać potężnego Menguta. Stąpał po cienkiej i chybotliwej linii – zamiast wyjechać na powitanie, oczekiwał gościa w pałacu. Teraz jednak pokłonił się, jak na poddanego przystało. Ten człowiek był władny zdecydować, czy Park Sung-han miał zostać zastąpiony kimś jeszcze bardziej uległym. Czy w ogóle będzie żył.

Ale nie miało to już przecież żadnego znaczenia.

– Potężny chanie, władco Goryo i połowy świata, oto korzę się przed tobą...

Burudaj, powiększony do nadludzkich rozmiarów grubym futrem, patrzył spod żelaznego hełmu na płaszczącego się Park Sung-hana i jego gwardzistów z dziwnym błyskiem w oku. Może nie nawykł do takich hołdów lub przeciwnie, zbyt wiele ich już widział, by pod powierzchownym pochlebstwem nie dostrzec podskórnej nienawiści. Może wiedział, że hołd niczego już nie zmieni. A może menguccyzna księcia była zwyczajnie nieudolna. Ta ostatnia ewentualność najmniej przejęła Park Sung-hana. I tak nie miał zamiaru już nigdy wypowiedzieć słowa w tym barbarzyńskim języku.

Porzucając próżne domysły, zaprosił Mengutów do środka.

Jeźdźcy w płytkowych zbrojach zostawili konie i minawszy wypielęgowany

dzień, weszli do okazałej sali audiencyjnej. Jak na wasala przystało, Park Sung-han unizonym gestem wskazał Burudajowi podwyższenie. Kiedy ten postąpił naprzód, księżę dobytym jakby znikąd sztyletem podciął mu gardło.

Gwardziści sprawili się dobrze. W jednej chwili świta Burudaja skończyła pod ostrzami. Poszło tym łatwiej, że się nie bronili.

Zamiast sięgać po broń, sięgali za pazuchy.

Między belkami sklepienia zaroilo się naraz od kwilących alarmująco czarnych ptaszków.

Park Sung-hanowi krew uderzyła do głowy.

– Strzelać! Nie wypuścić żadnego! – wrzasnął, sam rzucając sztyletem w szamoczące się w górze stadko.

Przyczajeni na wszelki wypadek w zakamarkach sali czarnostrojni jak jeden mąż jęli się łuków. Bezlitosne strzały strącały ptaki na posadzkę.

Ale jednego nie zdołały strącić.

Ciemny punkt śmignął przez otwór wejściowy i wzbił się w niebo, ścigany wściekłym krzykiem Park Sung-hana.

Księżę bezsilnie kopnął ciało chana i targnięty nagłym przecuciem, zdarł zeń futro.

Na karku trupa nie było dwu blizn.

Nie było nawet jednej.

Park Sung-hanowi pociemniało przed oczyma.

– Otworzyć Stary Cmentarz – wycharczał i padł na stopnie podwyższenia.

Tajemniczy obcokrajowiec, który zaszlachtował dziesiątki strażników i okrutnie uśmiercił Hye-gonga, musiał jakoś dowiedzieć się o pułapce i ostrzec chana. Jeśli przejrzał też sekret Starego Cmentarza...

Gwardziści opuścili salę, przekazując dalej polecenia księcia, który z całej siły starał się, by jego samego nie opuściła nadzieja.

\*\*\*

Paski suszonego mięsa ginęły jeden za drugim w ginących pośród brody ustach przysłego władcy obszaru obejmującego Północną Czungię, Manczę, Xybelię, półwysep Goryo i wyspy Nipponii. Zabijając czas, aż z „przysłego” stanie się władcą panującym, odziany w kaftan ze srebrnych lisów chan Burudaj Dwie Blizny rozkoszował się błahostkami. Mięso dawno zaszlachtowanego barana smakowało zaś tym lepiej, im rzewniej na księżycowej lutni grała czungijska branka, skulona pod haftowanymi jedwabiami, przesłaniającymi drewniany stelaż ścian.

Idyllę chana przerwał goniec. Oświetlone dotąd tylko niewielkim otworem w dachu wewnątrz jurty przeszył nagle jaskrawy snop spod uchylonej płachty wejściowej.

– Panie, dostrzeżono ptaka!

Burudaj przełknął ostatni kęs i machnięciem kazał dziewce zniknąć. Wysła szybciej nawet, niż nakazywał obyczaj. Nie miał zamiaru jej za to ganić.

– Każ ludziom gotować się do boju. Zawołaj Thubduna – odprawił gońca i zatarł ręce.

Niebawem do jurty wszedł łysy Phończyk w podartej żółtej szacie obwieszanej kolorowymi wstążkami. W dłoniach ścisnął osmoloną łopatkę barana.

– Wygląda na to, że twój dar nie zawodzi – mruknął Burudaj, wskazując lamie miejsce obok siebie. – A co widzisz teraz?

Powodzenie i pochwały nie miały wpływu na nastrój Thubduna. W ciemnych oczach kłębiły się chmury, twarz znaczyły głębsze niż wczoraj bruzdy.

– Nie wiem, panie – odpowiedział, kalecząc mengucczynę. – Wróżba nie jest jasna.

– Wczoraj też nie była jasna, a domyśliłem się, że będzie zamach – Burudaj sięgnął pod

rzucione opodal futra i wyjął worek kumysu. – Mów, coś widział.

Lama posłusznie pochylił się nad kością. Macał ją i oglądał dłuższą chwilę, jakby coś odwlekając lub odsuwając od siebie.

– Śmierć – sapnął wreszcie. – Kraj ten znał kiedyś inne ludy... Jeśli wiatr powieje dobrze, będzie dobrze... Jeśli wiatr powieje źle, będzie źle...

Burudaj czekał na dalszy ciąg przepowiedni, ale Thubdun już skończył i kiwał się teraz w przód i w tył niczym w mudzilińskiej świątyni. Chan poznał już obyczaje lamów na tyle, by wiedzieć, że teraz już niczego zeń nie wyciągnie.

Dopił kumysu i wzięwszy w usta garść pasków, wstał, by wyjść do wojowników. Goryo nie chciało niestety łatwo się poddać. A może raczej stety.

Cokolwiek czekało dziś Burudaja, mięso smakowało mu coraz bardziej.

\*\*\*

Cairen z kwaśną miną rzucił w krzaki ostatnią kość. Rzecz nie w tym, że zając był surowy; w istocie blondyn w jedzeniu cenił tylko pożywność i nasycenie, procedury takie, jak pieczenie czy gotowanie traktując li tylko jako opało- i czasochłonną przyprawę. Zresztą nie chciał zwracać na swą kryjówkę uwagi, a wszechobecna wilgoć dodatkowo utrudniała naszykowanie bezdymnego ogniska. Rzecz w tym, że był to zając. I nie jedyny w ciągu ostatnich dni. A Cairen liczył na coś słuszniejszych gabarytów.

Jakkolwiek jednak śniadanie było podłe, tego dnia na brak rozrywki barbarzyńca nie mógł narzekać. Od dłuższego czasu obserwował, jak nadciągające z zachodu menguckie wojsko pokonuje nagie wzgórza w drodze do Kaebongu. Kiedy wszakże miał się zacząć główny punkt programu, horda zatrzymała się pod murami i rozbiła obóz. Cairen był zniesmaczony podwójnie.

Kiedy już zapowiadało się, że dłużyzna zapanowała na dobre, z Północnej Bramy wystrzeliła grupa jeźdźców. Nie zdążyli przejechać pół drogi do Starego Cmentarza, kiedy Zachodnią Bramę miasta rozświetlił błysk i spowił dym, a niebawem po wzgórzach przetoczył się groźny huk. Cairen sięgnął po nadgniłe jagody pnącza oplatającego kolumny pawilonu i przegryzając, patrzył z podnieceniem, jak pod murami zaczyna wrzeć bitwa.

Tymczasem jeźdźcy zatrzymali się pod bramą Starego Cmentarza. Z tej odległości barbarzyńca mógł tylko się domyślać, że majstrują przy wrotach. Jeźdźcy oderwali się nagle od bramy i zerwali przed siebie, by w chwilę później wyrwać wrota z zawiasów. Zaraz potem musieli odciąć liny, bo co koń wyskoczy pomknęły z powrotem ku Kaebongowi.

Chociaż nie.

Ku Mengutom.

Do wzgórz nie dotarł jeszcze słaby w porównaniu z poprzednim wybuchem odgłos upadających brązowych podwojów, kiedy Cairen dostrzegł pośród cmentarnych budynków ruch.

Dziwny ruch.

Przez otwartą bramę na drogę jęła się wylewać wzburzona fala.

Tworzyły ją sylwetki człowiekopodobne, ale zdecydowanie nieludzkie.

Pierwsze grzywacze pomknęły za jeźdźcami.

Po chwili ku menguckiej armii toczył się już potworny sztorm, chlustający niepowstrzymanie ze Starego Cmentarza.

Nie było mu końca.

Cairen zdecydował, że wystarczy tego siedzenia.

Coś się działo.

I nie mogło dziać się bez niego.

\*\*\*

– Z murów! Z murów!!

Koń wciąż tańczył i dygotał pod Park Sung-hanem, choć grzmot bomby ucichł już i zagubił się między budynkami. Wybuch zniszczył Zachodnią Bramę i zrujnował mury na kilkadziesiąt kroków w obie strony. Gdyby nie to, że w samą porę przybyła konna gwardia Park Sung-hana, mengucka horda wlewałaby się już przez powstałą wyrwę niczym wzburzona spieniona woda przez nadmorskie wydmy.

Oddziały na murach próbowały zasypywać Mengutów głazami, korzystając z tego, że koczownicy jeszcze nie rozlokowali swych machin. Wtem lotna grupa przemknęła mimo zastępów kawalerii w głąb miasta i w mgnieniu oka powysztrelała obsadę stanowisk. Podstępni łucznicy zginęli usieчени, ale ostrzał urwał się na dobre.

Wszystkie siły musiały być teraz skierowane na odparcie Mengutów. Jeśli choć jeden oddział przebiję się w głąb Kaebongu, zacznie się jatka.

Walczący obok księcia oficer padł ze strzałą w gardle, kiedy nagle na tyłach Mengutów powstał tumult. Park Sung-han z trudem powstrzymał krzyk radości. Koczownicy zaczęli się wycofywać.

Jego plan zadziałał.

Jeśli jednak po wymordowaniu Mengutów...

– Barykady! Wznosić barykady!

Zrujnowana brama nie mogła powstrzymać Mengutów; tym bardziej nie powstrzyma siły od nich potężniejszej. Patrząc, jak gwardziści, strażnicy i zwykli mieszkańcy znoszą belki i gruz, Park Sung-han błagał opiekuńcze bóstwa miasta, by ta prowizoryczna zapora okazała się wystarczająca.

\*\*\*

Yee Du-Hee zaklął szpetnie. Na jego oczach najlepsi kusznicy bractwa w ułamku chwili zmienili się w krwawy pył. Mieli elegancko zdjąć menguckich dowódców, kiedy zabraknie Burudaja. Yee Du-Hee nie zdążył im przekazać polecenia Park Sung-hana, by szukali samego chana, kiedy pogrzebał ich wybuch. Wszystko poszło nie tak.

Yee Du-Hee słyszał nawoływania do opuszczenia murów, ale nie schodził z baszty. Patrzył na mengucki obóz i chmurzył się coraz bardziej.

A więc Burudaj żył. Nie zaskoczyło to Yee Du-Hee. Zdziwiłby się raczej, gdyby chan okazał się kretynem udającym się do serca miasta wciąż nie podbitego kraju na czele nielicznej świty. Wieści od Park Sung-hana tylko potwierdziły przeczucia Yee Du-Hee.

Wobec porażki pierwszego etapu planu trzeba było dokonać redefinicji priorytetów. Nadstawienie gardła do poderżnięcia, a tym było otwarte przeciwstawienie się chanowi, co skuteczniiał właśnie Park Sung-han, nie należało do najwyższych.

Ale plan miał i drugi etap.

Chyba nawet ważniejszy niż zabicie Burudaja.

– Tam...

Yee Du-Hee podniósł zasepioną głowę i podążył wzrokiem za ręką stojącego obok Lee Joo-euna.

Cmentarne zastępy zbliżały się już do Mengutów. I chaos, który wdarł się w karne oddziały Burudaja, świadczył, że wywarły właściwe wrażenie.

Yee Du-Hee spojrział na drugą stronę muru, gdzie obrońcy na czele z Park Sung-hanem stawiali barykady, i postanowił jeszcze odłożyć decyzję.

Ale wiedział, że w końcu będzie musiał opowiedzieć się po którejś ze stron.

Ostatecznie i nieodwołalnie.

\*\*\*

Burudaj nie uważał się za tchórza. Z taką samą odwagą pochylił kark pod szablę Wielkiego Chana, jak i dowodził w walnych bitwach. Widział też w podbijanych krajach dziwy, o jakich nigdy wcześniej mu się nie śniło, i nawet nie mrugnął.

Ale to, co wyoiło się nagle z pól na północ od Kaebongu w ślad za grupką gorjońskich jeźdźców wyrwało mu z ust jęk zdumienia.

Bo przecież nie strachu.

Zaalarmowany wyszedł z ciepłej jurty na chłód kaebońskiej kotliny. Pod nogami zaskrzypiały mu deski. Pokrytą kremowym wołokiem jurtę ustawiono na drewnianej platformie o czterech wielkich kołach. Burudaj już swoje się wytrząsł na końskim grzbiecie; na stare lata wolał czerpać pełnymi garściami z przysługujących mu przywilejów.

Ale teraz, kiedy zaciskał dłonie na balustradzie otaczającej platformę, nie myślał o wielkich kampaniach ani należnych luksusach. Przed oczyma stanęły mu znów wszystkie stoczone w życiu pojedynki twarzą w twarz ze śmiercią. Bo oto już pierwsi rozproszeni po polach Menguci zginęli w pazurach istnych demonów z piekła rodem, których gardłowy warkot paraliżował atakowanych, a widmowe ciała zdawały się kazić przenikające przez nie światło. Już konie z przeraźliwym kwikiem padały krwawiąc na ziemię. A zębate i szponiaste upiory napływały wciąż nową falą.

Najbardziej jednak zdumiał się Burudaj, kiedy potwory doścignęły wiodących je Gorjończyków i opadły ich niczym szerszenie łasą na miód małpę. Po chwili na ziemi leży zmasakrowane ciała. A demony zatrzymały się, węsząc wokół jak psy.

To była ta chwila.

Połykująca żelaznymi hełmami linia obrony została utworzona w kilka rozbrzmiewających rozkazami chwil. I zaczęła się rzeź.

Bo inaczej niż rzezią nazwać tego nie było można.

Pomimo widmowej na pozór natury demony nie były odporne na ludzką broń. Celne serie strzał kładły je pokotem, a na twarzy Burudaja rozrastał się okrutny uśmiech.

Ale upiory wreszcie skończyły węszyć i zaczęły walczyć.

Coraz szybciej komenderowane serie strzałów nie nadały z dawaniem odporu niekończącemu się potwornemu napływowi. Półprzejrzyste ciała ciągle padały, lecz coraz bliżej menguckich linii.

Burudaj odprawił dowódców i kazał przywołać lamę.

– Jak rozumiem, to jest ta śmierć, którą przewidziałeś – rzucił oschle Thubdunowi. – Mam nadzieję, że masz jeszcze coś do przewidzenia.

Lama wpił się kościstymi palcami w czarną kość. Burudaj miał go już ponaglić, kiedy mnich odezwał się cicho:

– Wiatr... tylko wiatr...

– Jaki wiatr, na Wieczne Błękitne Niebo! – warknął chan.

Lama podniósł wzrok.

– Módlmy się do Wiecznego Błękitnego Nieba, by skierowało wiatr od miasta ku demonom...

Chan patrzył chwilę w puste brązowe oczy Thubduna, a potem przywołał gońca. Decyzja mogła być tylko jedna.

Koni mieli dość, by sprowadzić choćby i huragan.

\*\*\*

W przyplynie werwy Park Sung-han wjechał po gruzowisku na szczyt muru i spojrzał



na obóz Mengutów.

Demony niemal dorównywały liczebnością armii Burudaja. Gdyby teraz dokonać wypadu za mury, zgnieść Mengutów z boku i wystawić osłabionych potworom na żer...

Park Sung-han otrząsnął się z niebezpiecznych marzeń. Upiory były poza kontrolą. Lepiej było zagrozić im drogę, nim pożrą Mengutów i skierują się na miasto.

Zginać z ręki koczownika to haniebna śmierć.

Zginać w zębach demona to los gorszy od śmierci.

Park Sung-han zjechał do swych ludzi. Barykada wciąż nie była dość wysoka.

\*\*\*

Cairen zwolnił i zatrzymał się, kiedy kopyta jego chabety załomotały o leżące na drodze wrota. Rozmokłą ziemię zryły setki olbrzymich kocich łap o psich pazurach. Nad Starym Cmentarzem zalegała cisza, na pozór taka sama jak wtedy, kiedy podjeżdżał tu po raz pierwszy, ale w istocie odmienna. Barbarzyńca rzucił okiem przez otwór w murze.

Błoto, błoto, błoto. A dalej...

Koń zarżał i cofnął się. Cairen, jak każdy barbarzyńca nie stroniący od ulegania przecuciom, nie zwykł ignorować zwierzęcych instynktów. Też wyczuł w powietrzu dziwne napięcie. Przez chwilę świat zamarł w bolesnej równowadze. Barbarzyńca rzucił na Stary Cmentarz ostatnie spojrzenie i zawrócił wierzchowca.

Nad miastem nikąd pojawiły się ciemne chmury.

To nie wróżyło dobrze.

Pędem, na jaki tylko pozwalały możliwości konia zaprzęgowego, puścił się ku Kaebongowi.

\*\*\*

Yee Du-Hee aż się pochylił, kiedy w plecy uderzył go podmuch. Zwykły o tej porze roku wiatr z północy ustąpił dzikiemu podmuchiowi z południowego wschodu. Pogoda nad Kaebongiem zmieniła się w okamgnieniu. To nie mogło oznaczać niczego dobrego.

Jeszcze kilka chwil wcześniej dłoń Yee Du-Hee kiwała już na Lee Joo-euna. Ale do wydania rozkazu zapolowania na Burudaja nie doszło. Powietrze stężało, jak gdyby rozrywały je na wszystkie strony niewidzialne struny, a potem zawirowało i skręciło. Szeregi niepowstrzymanych demonów, które już-już miały wgryźć się w pierwszą linię koczowniczych łuczników, zatrzymały się. Strzelcy zebrali obfite żniwo, kiedy upiory wyciągnęły ku niebu zwierzęce pyski i jęły węszyć. A potem nie zważając, że wystawiają się na strzały, ruszyły pędem wzdłuż menguckich szeregów ku miastu.

Cokolwiek się stało, stało się. Jeśli Burudaj wykorzysta pomyślne zrządzenie losu...

– Nie ważcie się nikogo ostrzec – rzucił kusznikom – i miejcie księcia na oku.

Zacisnął dłonie na murze i wpatrzył się w sunące wzdłuż menguckiego obozu demony. Stał przed dylematem godnym tragedii goseońskiej.

Na jego rozstrzygnięcie miał już tylko chwilę.

\*\*\*

Ze swego podwyższenia Burudaj podziwiał efekty zmiany kierunku wiatru na zachowanie demonów. Mimo że łucznicy wciąż szyli z łuków w boki biegnących potworów, te nie reagowały, pędząc szaleńczo ku Kaebongowi.

– Lepiej ich nie ubijać – mruknął jednemu z dowódców. – Im więcej wejdzie do miasta, tym szybciej zdławią opór.

Niebawem Menguci opuścili łuki i zaczęli się wycofywać.  
Demonom trzeba było zapewnić godziwe warunki pracy.

\*\*\*

Menguci strzelający dotychczas zza wysadzonej bramy spuścili nagle z tonu i rozpoczęli odwrót. Park Sung-han próbował przez chwilę zdusić kielkującą w nim wciąż chęć dokonania wypadu. Nadaremno.

...zginie wielu i wielu przeżyje...

Okazja nadarzała się sama.

Na jego okrzyk odpowiedziały setki gardeł. Barykadę, z takim wysiłkiem wzniesioną, przerwały w kilku miejscach bystre potoki kaebońskich zastępów. Gorjończycy wyjechali z miasta na menguckich karkach, tnąc pokonanych bez litości.

Rozjaśnione oczy Park Sung-hana zetknęły się z oczyma Burudaja. Chęć szarży na chanowską jurcję zgasła tak szybko, jak się pojawiła. Nie tylko dlatego, że Menguta od Gorjończyka dzieliły setki gotowych poleceń za swego wodza koczowników. Nawet nie głównie dlatego.

W jakiś mistyczny sposób niemal niedostrzegalne z oddali oczy Burudaja emanowały pogardą. Tryumfem. I współczuciem.

Wśród Gorjończyków rozległy się ostrzegawcze krzyki. Park Sung-han spojrział ku północy.

Wzdłuż nieruchomych szeregów Mengutów ku miastu pędziła ożywiona śmierć.

\*\*\*

– Zdejmujemy księcia – mruknął Yee Du-Hee do Lee Joo-euna. – Ale jeszcze nie teraz.

Park Sung-han przejeżdżał właśnie przez resztki bramy, ścigany przez horde straszniejszą niżli mengucka.

– Demony nie mogą go rozszarpać!

Gorjończycy nie zdążyli przegrupować się po pokonaniu barykady, kiedy potwory dopadły skłębionych jeźdźców. Rozpętało się piekło. Krzyki ludzkie, kwiczenie koni i upiorny warkot wzbity się pod niebo. Park Sung-han wyrwał się z kotłowniny, nim potwory zdążyły okrążyć ludzi, i na czele kilkunastu gwardzistów pocwałował ulicą.

– Bieży do pałacu – zazgrzytał zębami Yee Du-Hee. – Musimy go dopaść wcześniej!

Już po chwili żołnierze bractwa biegli po dachach w ślad za oddalającym się księciem.

Mieli tylko jedną szansę doścignięcia Park Sung-hana.

Jeśli demony dościgną go pierwsze.

A on sam bronić się będzie jak na kończącego swój żywot księcia przystało.

\*\*\*

Gdyby nie demony, Cairen zastałby Północną Bramę zamkniętą. Zbliżając się widział, jak załoga zamyka boczną furtę za ostatnimi Gorjończykami, którzy bawili dotąd za murami. Skrzydło już się domykało, gdy wtem rozległ się straszliwy krzyk i warkot, a przez okienko buchnęła krew. Włosy zjeżyły się blondynowi niczym szczotka ryżowa, kiedy posłyszał te same obrzydliwe odgłosy, które odstręczyły go od szukania kryjówki na Starym Cmentarzu. Zeskoczył ze sfatygowanej ciężkim truchtem chabety na żwir i dobywając miecza, zbliżył się do furty. Ohydne chłeptanie urwało się raptownie. Blondyn obrócił miecz w garści. Cokolwiek miało wyjść mu na spotkanie, natknął się na godnego przeciwnika.

Furta otwarła się z potwornym hukem gnącego się metalu, a przed Cairenem stanęła

bestia z piekła rodem.

Półprzejrzyste, węzlaste i żylaste ciało miało ludzki wzrost i posturę, ale zwierzęcą tkankę. Pokryta przezroczystą szczeciną morda przywodziła na myśl skrzyżowanie małpy z lisem, lecz szczyrzyła tygrysie zęby, pomiędzy których dobywał się warkot godny phońskiego psa-olbrzyma. Długie, ptasio szponiaste ręce wiły się niczym węże, potężne nogi gięły się ku tyłowi na kształt lwich łap, a w spojrzeniu płonęła cała dzikość...

...człowieka.

Za plecami Cairena rozległ się łomot. Przemęczona – lub przerażona – chabeta wyzionęła ducha.

Niewiele myśląc, olbrzym pchnął miecz w obmierzłe oblicze demona. Ten jednak ruchem szybszym niż mrugnięcie oka wykonał unik i zamachnął się potworną łapą, rozcinając ze świstem powietrze.

Ale jakoś bez przekonania, jak gdyby chciał intruza odstraszyć, nie zabić.

Cairen uskoczył i ciął całą siłą potężnego tricepsa. W jednej chwili niepokój, który trapił go na widok upiora, rozwiął się bez śladu.

Widmowa kończyzna padła odjęta od ciała na ziemię, sikając białą krwią.

– Tuś mi, bratku – zachichotał barbarzyńca i w kilka chwil porąbał zaskoczonego demona na kawałki.

– Kryształ światło też się nie ima, ale miecz i owszem – mruknął sentencjonalnie strząsając z klingi bladą maź i wszedł przez furtę do miasta.

Tu rozpanoszył się już chaos. Mieszczanie w białych strojach na widok upiorów dostawali panicznych spazmów. I nie bez powodu, bowiem potwory nie poprzestawały na straszaniu wyglądem. Drzwi domostw szły w drzazgi, a z wnętrza dochodziły straszliwe odgłosy agonii, kiedy demony ruszyły na żer. Na ulicach leżały pokotem zmasakrowane ciała zabitych.

Cairen z zaciekawieniem oglądał zwłoki. Upiory miały specyficzne upodobania. Poza ogólnym pokaleczeniem, wszystkie trupy łączyło jedno – ziejąca czerwienią i błyskająca kośćmi dziura w miejscu serca.

Jaki cel miał taki a nie inny rozbiór tusz ludzkich, olbrzym przekonał się już niebawem, bo oto zza rogu wypadł przerażony mężczyzna, a za nim dwa upiory. Na widok Cairena jeden z nich warknął i odpuścił pościg za Gorjończykiem, którego wnet dopadł drugi demon. Cairen nie kłopotał się mieczem, tylko sięgnął po sztylet i celnie a głęboko umieścił go w czole nadbiegającego potwora. Zaraz też sięgnął po następny.

Drugi upiór już siedział nad trupem mężczyzny i sięgał szponiastą łapą ku jego piersi. Cairen zatrzymał się, zaciekawiony. Zgodnie z oczekiwaniami potwór wydarł i z apetytem pochłonął serce. A potem stanął niczym pies, wygiął grzbiet niczym kot i skowycząc, rozdziwił się.

Cairen przetarł oczy.

Nie przywidziało mu się.

Z pleców demona po prostu wyrósł bliźniaczy demon.

Nie było czasu na kontemplację, bo oba potwory już szarżowały na stojącego nieopodal człowieka. Cairen jednego zastopował sztyletem, a drugiego rozrąbał mieczem, choć ręka trochę mu drżała.

Wtem stało się coś jeszcze.

Leżący mężczyzna jęknął i zaczął się podnosić. Barbarzyńca poczuł, jak skóra cierpnie mu na rozłożystym grzbiecie. Przecież ten człowiek nie miał serca!

Gorjończyk podniósł się niemrawo i ruszył w kierunku skamieniałego Cairena. Dopiero kiedy kłapiące zęby i zaciskające się łapczywie dłonie znalazły się zbyt blisko, miecz barbarzyńcy błysnął, a głowa zombie spadła na ziemię w ślad za zwiotczalym ciałem.

Blondyn splunął siarczyście. Widział już w życiu niejedno diabelstwo, ale to

przechodziło wszelkie pojęcie. Najchętniej wróciłby czym prędzej w góry.

Niestety w obecnej sytuacji „czym prędzej” nie oznaczało „z kopyta”, lecz „per pedes”. A wtedy doścignąć mogłyby go nie tylko demony, ale i Menguci.

Nie wiadomo, co gorsze.

Trzeba było znaleźć rumaka.

Westchnął z rezygnacją i pobiegł w głąb miasta, ubijając po drodze każdego demona, jaki się nawinął.

\*\*\*

Demony rozprzestrzeniały się po mieście szybciej niż dzuma. Yee Du-Hee i jego żołnierze stracili już z ócz oddział Park Sung-hana i biegli teraz drogą napowietrzną prosto do pałacu.

Ale Yee Du-Hee licząc na upiory nie przeliczył się.

Wybuch warkotu i krzyku kazał żołnierzom skrócić z obranej drogi. Po chwili stali już na krawędzi dachu nad ulicą, gdzie oddział księcia startł się z potworami.

Waleczność i uzbrojenie Gorjończyków nie wystarczały, by odeprzeć atak. Jeden z upiorów już dopadał Park Sung-hana, kiedy Yee Du-Hee wyrwał stojącemu obok Chulmoowi kuszę i jednym strzałem odesłał demona do piachu.

Książę poderwał głowę.

– Wystrzelajcie ich! – krzyknął. – Na co czekacie!

Yee Du-Hee skinął swym ludziom.

– Wystrzelajcie. Wszystkich. Oprócz księcia.

Powietrze nad ulicą przecinały strzały, kiedy Yee Du-Hee schodził po drabinie z dachu na zaniedbany dziedziniec i mijał przerażoną rodzinę, by wyjść na pobojozisko.

Wszystkie demony i wszyscy gwardziści leżeli już w piachu. Tylko Park Sung-han siedział wciąż na koniu i patrzył stojącemu naprzeciwko Yee Du-Hee w oczy.

W których nie było nic.

Dzieliło ich kilkadziesiąt kroków. Po bokach mieli szeregi drewniano-glinianych domostw, nad sobą słońce przezierające przez czarne chmury, pod sobą trupy ludzkie i potworowe.

Yee Du-Hee przeładował kuszę. Miał w magazynku jeszcze pięć strzał.

Już tylko cztery.

Książę ruchem szybszym niż cios orlego dzioba w kark bobaka odbił mieczem zdradziecki belt i spiąwszy konia, zaszarżował.

Kolejny belt utkwiał w ramieniu Park Sung-hana, ale go nie powstrzymał. Następny przebił mu bark, ale książę tylko krzyknął groźnie. Yee Du-Hee zaklął i wystrzeliwszy ostatnie dwa w twarz Park Sung-hana, uskoczył w bok.

Koń przemknął tuż-tuż jak wichra, by po chwili zatrzymać się i zrzucić naszpikowanego beltami jeźdźca w proch ulicy.

– Mówiłem nie strzelać do księcia! – ryknął Yee Du-Hee na widok drzewców, którymi najeżony był bok Park Sung-hana. – Jeśli zepsuliście głowę...

Podszedł do ciała i zaklął. Ale obwiniać mógł tylko siebie. Na wysokości czoła księcia z szyszaka sterczały dwa belty.

– Dong-yul albo który tam, odetnijcie mu łeb – mruknął wściekle ku podchodzącym żołnierzom. – Tylko szyszaka ani beltów nie ruszać, bo krew mu pysk zaleje i nikt go nie pozna.

Koń Park Sung-hana zaakceptował nowego pana bez rżenia sprzeciwu.

\*\*\*

Zastępy żywych trupów na ulicach Kaebongu wciąż gęstniały. Szczęściem ubijanie ich było nie tylko łatwizną, ale i dobrym uczynkiem. Ciach, i prawa natury zostawały przywrócone. Ciach, i martwi umierali jak trzeba. To samo „ciach” dokonane na demonie oznaczało tylko, że zło zwyczajnie znika. Ale wciąż było go zbyt dużo na tym świecie.

I w tym mieście.

Ze sklepu kilkanaście kroków przez Cairenem wyskoczył wrzeszcząc mężczyzna. Ścigający go upiór uciszył hałas jednym kłapnięciem monstrualnych szczęk i odwróciwszy trupa na plecy, wydarł mu serce. Cairen podbiegł w samą porę, by za jednym zamachem ściąć dwie szkaradne głowy.

Profilaktycznie zająwszy się też mężczyzną, otarł pot z czoła i wszedł do lokalu. Jakaż była jego radość, gdy znalazł tam słuszny zapas ziemniaczanego wina. Żłopiąc trunek zastanawiał się przelotnie, czy aby nie idzie mu zbyt łatwo. Potwory atakowały go rzadko, wiele nawet nie zwracało nań uwagi, kiedy zbliżał się z mieczem. Mógł po prostu stwierdzić, że tym gorzej dla nich, i nie zawracać sobie więcej głowy. Ale rzecz nie przestawała go nurtować.

Pokrzepiwszy się, wrócił do rąbaniny. A roboty nie brakowało, bo z każdą chwilą przybywało demonów i żywych trupów. Zatknąwszy drugą karafkę na zapas za pas, jął znów naprawiać ten świat.

W krwawym zamieszaniu nie zdziwiło Cairena, kiedy w prześwicie między budynkami zobaczył nagle nierówną walkę, po której grupa ludzi z wielostrzałowymi minikuszami odcięła powalonemu jeźdźcowi głowę. Zbliżył się w samą porę, by ujrzeć, jak na koniach zabitych gwardzistów odjeżdża oddział dowodzony przez Gorjończyka, którego widział i słuchał w saunie.

Niedaleko poboju stało jeszcze kilka wierzchowców. Idąc w ich kierunku Cairen ściął głowy podnoszącym się niemrawo trupom jeźdźców, po czym wychylił karafkę wina, dosiadł najbardziej krzepkiego rumaka i ruszył w ślad za oddalającym się oddziałem.

Teoretycznie mógłby wrócić do Północnej Bramy i popędzić ku wzgórzom. W praktyce jednak nie wybaczyłby sobie, że opuścił Kaebong w takiej chwili.

Czuł, że żądza przygody w połączeniu z winem kiedyś go zgubią.

Ale jeszcze nie teraz.

\*\*\*

W mieście panował już tylko chaos. Potwory mordowały kwartał za kwartałem, zmieniając przerażonych mieszkańców w chodzące trupy. Kto z kolei dostał się w ręce tych ostatnich, kończył w postaci kupki dokumentnie ogryzionych kości. Nie dziwota, że demony niejednokrotnie musiały ratować żywych z rąk martwych, tylko po to jednak, by w efekcie ubocznym procesu rozdwojenia zmienić tych pierwszych w tych ostatnich. Błędne koło wirowało coraz szybciej.

Yee Du-Hee rychło pożałował, że przesiedli się na konie. Co rusz musieli zwalniać, by stoczyć potyczki i bitwy. Od powrotu na dachy odwoziły ich wyjące i jęczące zombie, wychylające się z okien i wytaczające z drzwi. Dość, że ściągną człowieka z konia, i już po nim.

Zresztą upiory szybko zorientowały się, że wiedzeni szaleństwem mieszkańcy uciekają przed morderczą nawałą na piętra, strychy i wreszcie dachy. Niebawem do listy zagrożeń dla jeźdźców dołączyły spadające ciała. Jeszcze chwila, a demony zaczną z dachów skakać nam na głowy, pomyślał Yee Du-Hee, ładując w galopie kuszę ostatnimi bełtami.

Wtem ktoś zawołał go z góry. Yee Du-Hee spojrzął na dach mijanego budynku i w ostatniej chwili wystrzelił.

Na ziemię spadło truchło demona, a młody żołnierz imieniem Duck-young zgiął się w dziękczynnym ukłonie.

– Mów! – szczechnął Yee Du-Hee, rozglądając się po dachach. Jak na razie na tym froncie było bezpiecznie.

– Czarnostrojni wycofali się już do baszt! Pałac zajęły demony!

Yee Du-Hee przebił bełtem kolejnego upiora, który wyrósł za plecami młodzika.

– Co jeszcze?

– Cudzoziemski wojownik wjechał przez Północną Bramę! Widziano go, jak ubija demony!

Przywódca uśmiechnął się tryumfalnie.

– Odnajdźcie go i przyprowadźcie do Zachodniej Bramy. Choćby połowa z was miała zginąć, on ma być żywy! To wszystko?

Duck-young skinął głową i odbiegł. Yee Du-Hee miał mu krzyknąć, by nie dał się zabić po drodze, ale sam musiał właśnie stawić czoło blokującym przejazd trupom.

W normalnych okolicznościach nie tolerowałby w swych szeregach nieudacznika pokroju owego nieuważnego żółtodzioba. Wyrok zostałby wydany i wykonany natychmiastowo.

Ale patrząc na topniejące szeregi przybocznych, dochodził do wniosku, że jeśli będzie mu dane dożyć jutra, postara się przesunąć środki z egzekucji kar i zainwestować więcej w szkolenia.

\*\*\*

Burudaj kazał sobie przynieść świeżego kumysu i rozparł się na baranich skórkach platformy. Przed nim, w rozległym prześwicie powstałym po wysadzeniu bramy, rozgrywały się dantejskie sceny.

– Nie wiem, w czym to miasto zawiniło demonom – mruknął do Thubduna – ale sądząc po karze, zbrodnia musiała być niestłuchana!

Siedzący nieopodal wozu lama nie odpowiedział. Miętosił wciąż końskie wnętrzności, szukając w nich odpowiedzi na jeszcze nie zadane pytania. Chan był wdzięczny, że gusła dokonywały się po zawietrznej.

– Powiedz – zagadnął mnicha – cóż takiego jest w mieście, że przyciągnęło potwory?

Lama długo nie odpowiadał, przeplatając tylko jelita. Burudaj już miał go zrugać, kiedy Thubdun mruknął:

– Nie w mieście... W ludziach... Na ludziach... Nad ludźmi... Wokół ludzi...

Burudaj zmarszczył brwi. No tak. Po zmasakrowaniu gorjońskich jeźdźców demony nie od razu kwapiły się do walki z mengucką armią. To tajemnicze, a feralne „coś” dotyczyć musiało tylko Gorjończyków. Albo przynajmniej nie dotyczyło Mengutów.

Ale i inna myśl nie dawała chanowi spokoju.

– Nie jest rzeczą nadzwyczajną, że zabici powstają z martwych i trapią żywych. Dlaczego jednak ożyli tylko Gorjończycy? Czemu duchy moich wojowników odeszły godziwie do przodków?

Lama podniósł wzrok, a następnie wymownym gestem końską wątrobę.

– To właśnie próbuję ustalić.

Wróżbici wróżyli najlepiej, kiedy pracowali we własnym tempie, Burudaj nie okazał więc zniecierpliwienia i odwrócił się ku miastu. Niedobitki gwardii Park Sung-hana padały o kilkadziesiąt kroków od menguckich szeregów biernie przyglądających się rzezi.

\*\*\*

Ramię Cairena opadało z nużącą miarowością. Szeroka ulica kipiała śmiercią. Z domów po obu stronach wysypywały się wciąż nowe demony, a za nimi żywe trupy. Barbarzyńcy i jego wierzchowcowi najbardziej naprzykrzały się te ostatnie, ale okazjonalnie napatoczył się też i demon. Cairen z utęsknieniem wypatrywał zachodnich murów.

Wtem, dokładnie w chwili kiedy zza zakrętu wyłoniła się wyrwa po wysadzonej bramie, ugryziony naraz we wszystkie cztery nogi koń olbrzyma zarżał boleśnie i zwałił się na ziemię.

Gdyby Cairen miał odrobinę wolniejszy refleks, nie zdążyłby wyciągnąć spod rumaka zgruchotanej nogi, a już napoczęliby go wygłodniaли nieboszczycy. Koń jednak nie padł jeszcze na dobre, kiedy jeździec stanął mocno na nogach i jął metodycznie odgławiać podchodzące zombie.

„Metodycznie” okazało się jednak wkrótce nie dość szybko. Trupy tłoczyły się niczym mrówki wokół chrząszcza ze złamaną nogą. Miecz jął więc śmigać zawrotnie, ale i to wkrótce przestało wystarczać. Tylko dzięki uruchomieniu rezerw barbarzyńskiego instynktu Cairen odpierał wzmagające się ataki. Miał już zacząć siec obłąkańczo, kiedy wtem wokół niego roztoczyła się migotliwa kurtyna bełtów, pod której fałdami trupy padały pokotem, wyjąc żałośnie.

Cairen rzucił okiem w górę. Na pobliskim dachu stał oddział z wielostrzałowymi minikuszami.

– Osłonimy cię! – krzyknął przywódca, wskazując na dach.

Czegokolwiek chcieli kompani saunowicza, który musiał być kimś więcej niż tylko wyedukowanym czyścioszkiem, prezentowali sobą racjonalną alternatywę wobec trupiej tłuszczy kłębiącej się wokół Cairena. Niewiele myśląc, puścił się biegiem ku budynkowi.

O ile osiągnięcie krawędzi dachu nie nastroczało niebezpieczeństw, o tyle wystawienie na pastwę potworów tułowia i nóg, kiedy będzie się podciągał, już tak. Cairen wołał zginąć stojąc z wrogiem twarzą w twarz, niżli pozwolić jakimś truposzom wgrzyźć mu się w tyłek.

Zignorował wołanie kuszników i wbiegł do wnętrza domu.

Otoczyły go trupy, błyskawicznie zakatrupione po raz drugi i ostateczny. Wypadł na dziedziniec, gdzie demon właśnie pączkował nad jeszcze ciepłym ciałem, i zdekapitowawszy całą trójkę wybrał ślepą ścianę, obejrzał się, a potem podskoczył, złapał za krawędź dachu i wywindował się na górę.

Otoczyli go kusznicy z załadowaną bronią w dłoniach.

– Rzuć broń. Idziesz z nami.

Cairen westchnął ciężko.

– Czy jest jeszcze coś takiego jak bezinteresowna pomoc?... – mruknął i podniósłszy rękę, ruszył we wskazanym kierunku.

Na wprost miał mury Kaebongu.

Ale po dachach między nim a murami biegało kilkadziesiąt demonów.

Okazja do ucieczki się nadarzy. Jeśli tylko zechce z niej skorzystać.

\*\*\*

Burudaj westchnął i rzucił za siebie próżny worek po kumysie. Walka była jak trzeba krwawa, ale dramatycznie brakowało jej dramatyzmu. Wszystkie demony znalazły się już w obrębie miasta. Teraz wygrywały każde starcie. Zresztą ze śmiercią ostatnich obrońców bramy front przesunął się zbyt daleko. Ócz chana nie cieszyły ogłupiałe w zamieszaniu trupy, chwiejnie stąpające ku Mengutom i ginące pod ich nożami jak rzeźne barany.

Wtem w pole widzenia wszedł goniec, wskazując Burudajowi szczyt murów.

Na krawędzi stał człowiek. W podniesionej ręce trzymał ludzką głowę. Czerwony pióropusz wieńczący szyszak falował we wracającym północnym wietrze.

Chan zmrużył oczy.

Mężczyznę widział na oczy po raz pierwszy.

Ale twarz zabitego po raz drugi.

– Utworzyć szpaler! Ten człowiek ma dotrzeć do mię nietknięty!

Rozkazy błyskawicznie zaczęto wprowadzać w czyn. Burudaj poprawił się na futrach.

A już narzekał na nudę.

\*\*\*

Na widok podbiegających i ustawiających się w szeregu Mengutów Yee Du-Hee mocniej zabiło serce. Przez chwilę przestał wierzyć w swój śmiały plan. Ale koczownicy nie szykowali się do pokazu morderczego łuczniczego kunsztu. Przeciwnie, ustawili się do Yee Du-Hee i jego ludzi tyłem, skutecznie wybijając trupom z głowy przedarcie się do bezpiecznego korytarza.

Yee Du-Hee miał już schodzić, kiedy dobiegł go okrzyk. Spojrzał w bok, gdzie prawie pod same mury podchodziły dachy budynków.

Olbrzymi obcokrajowiec z matowym od krwi demonów mieczem przewodził trzyosobowej grupce żołnierzy bractwa. Na twarzy Duck-younga jaśniał głupawy uśmiech. Przedarcie się z głębi miasta musiało być niełatwe. Do tego stopnia, że wymagało nowych sojuszy.

Szczęściem te sojusze były po myśli Yee Du-Hee.

Żołnierze, najwidoczniej roztrzęsieni długą walką i takąż drogą, czym prędzej dali susa z dachu na mur. Yee Du-Hee stęzał. Wojownik mógł teraz zeskoczyć na najbliższy dziedziniec i zniknąć na dobre.

Ale niczego takiego nie zrobił.

Być może obawiał się kusz.

A może wyczuł, że jest interes do zrobienia.

Nadwyrężony wybuchem mur zadrzał, kiedy olbrzym wylądował na nim z impetem. Nie było czasu do stracenia.

– Jestem Yee Du-Hee, pan tego miasta. Jak cię zwać?

– Cairen, syn Caisonga.

– Chcesz u mnie pracować?

– Jaka twoja oferta?

– Najlepsza w całym mieście.

– Konkrety, konkrety...

– Do wyboru trzy z następujących: złoto, srebro, diamenty, dziewczęta, chłopięta, wikt i opierunek.

– Stoi.

Jedno skinięcie głowy bractwa i już niebawem Yee Du-Hee szedł wzdłuż szpaleru Mengutów z nowym ochroniarzem u boku i uszczuplonym oddziałem kuszników z tyłu. Szpaler giął się jednak i falował pod naporem pobudzonych nagle demonów. Yee Du-Hee zbladł, kiedy jeden z potworów dziką szarżą przebił się przez Mengutów. Gdyby nie stalowe ramię i takiż miecz cudzoziemca, piasek zamiast bieli splamiłaby czerwień. Nowa obstawa błyskawicznie dowiodła swej przydatności.

Wychodzili już jednak poza obręb murów. Menguci rozstępowali się, robiąc gościom chana przejście do jurty. Upiorne warkoty cichły w oddali, przed jurtą zaś sięgały coraz wyżej płomienie dwóch ognisk.

Cairen znał mengucką próbę ognia, nie zdziwił się jednak, wyczuwając w towarzyszach niepewność. Koczownicy słynęli z okrucieństwa i dali się już poznać Gorjończykom jako nieobliczalni mordercy.

– Niech no który zbada głowę – zawołał Burudaj, moszcząc się dostojnie na



przyniesionym siedzisku.

Yee Du-Hee nawet się nie zorientował, kiedy Menguci wyrwali mu z ręki głowę Park Sung-hana. Po chwili trafiła już w ręce dowódców chana. Koczownicy wymownym gestem wskazali kaebńczykom wąski prześwit między ogniskami.

Widząc wahanie Yee Du-Hee, Cairen mruknął:

– Kto odmówi przejścia, przyznaje się do wrogich zamiarów. Lepiej nie zwlekać.

Yee Du-Hee nie odpowiedział. Przemknęło mu przez głowę wspomnienie narady w kryjówce. Może najemnik istotnie był menguckim szpiegiem. Ale Gorjończyk tkwił już zbyt głęboko w paszczy tygrysa, by zacząć wierzgać.

Pewnym krokiem wstąpił między płomienie.

Owiał go gorący podmuch – i było po wszystkim.

Niebawem klęczeli wszyscy pod jurta chana, odarci z broni i godności, wyczuwając jenieckim zmysłem, jak napięte łuki otaczających ich koczowników wibrują śmiertelną energią. Cairen nie protestował. Znał Mengutów, wiedział, że w takiej sytuacji jeden zbędny ruch równa się nagłej śmierci.

Burudaj zaczął mówić. Któryś Mengut wziął na siebie niewdzięczną rolę tłumacza.

– Kim jesteś?

Przywódca bractwa kornie pochylił czoło.

– Imię me brzmi Yee Du-Hee. Jestem przedsiębiorcą i człowiekiem czynu, a moja straż przyboczna znana jest nie tylko w Kaebongu.

– A więc zabiłeś swego pana, by przypodobać się mojej skromnej osobie – pokiwał głową Burudaj. – Co chcesz uzyskać w zamian za ten haniebny czyn?

Yee Du-Hee poczuł, że cierpie mu skóra. Słyszał o bezwzględności Wielkiego Chana dla niewiernych sług. Jeśli Burudaj podzielał jego poglądy na zabijanie własnych władców, chwile Yee Du-Hee były policzone.

– Księżę Park Sung-han przestał być mym panem, kiedy zwrócił się przeciwko tobie i sile, jaka za tobą stoi – odpowiedział, jeszcze niżej chyląc czoło. – Zdradził pakt z twym poprzednikiem, chciał zgubić własnych krajanów, a mię w szczególności, od początku bowiem popierałem pokój z Imperium. Pobitem go w uczciwej walce, do której dążył on, nie ja. Wierzę, o chanie, że me zasługi nie przejdą niezauważone.

Burudaj milczał. Tumult za bramą zupełnie przestał go już interesować. Rozmyślał, co na jego miejscu zrobiłby Wielki Chan. Wciąż czuł na karku cięcia szabli.

Ale Wielki Chan był daleko.

– Co chcesz uzyskać w zamian? – powtórzył.

Yee Du-Hee odetchnął.

– Park Sung-han mógł jeszcze długo stawiać opór, powodować straty w twych wojskach i spowalniać postępy. Ale już tego nie uczyni. Oszczędź więc, panie, miasto, które samodzielnie strząsnęło złego władcę, a odwdzięczy ci się ono wyśmienitymi kusznikami, którzy pójdą walczyć pod tobą wszędzie, i rzemieślnikami, którzy produkować będą rozliczne dobra dla twej korzyści.

Burudaj prychnął z rozbawieniem.

– Nie pierwsze to miasto, które usiłowało stawić opór Mengutom. Z miast tych oszczędzono tylko ludzi przydatnych do pracy, do służby, do wojny lub na żywe tarcze. Jeśli stawiało opór zbyt zaciekle, nie oszczędzono nikogo, nawet psów i kotów. Żadnego z tych miast dziś już nie ma. Jeśli chcesz, by Kaebong przetrwał, musisz zaoferować mi coś, czego sam nie mogę sobie wziąć.

Zimny pot oblał Yee Du-Hee. Był pewien, że skutecznie zaapelował do pragmatyzmu chana. Może tłumacz zawałił przekład. A może chan był jeszcze bardziej pragmatyczny.

– Mądry chanie! – spróbował ponownie. – Lud Goryo dumny jest i waleczny. Swą historię liczymy w tysiącach lat. Na południe od Kaebongu jest wielu władców, którzy honor

narodu przedkładają nad jego dobro. Jeśli dojdzie ich wieść o upadku miasta, zabiją oni takich jak ja orędowników pokoju i walczyć będą z tobą do ostatka. Jeśli jednak oszczędzisz Kaebong, sława Burudaja Miłosiernego wyprzedzi twe wojska i otworzy ci bramy, uświetniając tryumf...

– To już lepiej – uśmiechnął się Burudaj. – Ale cóż ja mam do upadku Kaebongu? Potwory zrównają miasto z ziemią bez mego rozkazu.

Yee Du-Hee uświadomił sobie nagle, że jest żałośnie nieprzygotowany do tej rozmowy. Że nie docenił przeciwnika, podświadomie mniemając, że przynależność do rasy wyższej wystarczy za instrumentarium argumentacyjne. Że nie wie, co powiedzieć.

– Chanie! – ozwał się wtem Cairen. Wobec porażki prób Yee Du-Hee postanowił sam przejąć inicjatywę i zwrócić się do chana bezpośrednio. – Demonów przybywa z każdą chwilą. Każdy ubity kaebonczyk to jeden demon i jeden zombie więcej. Póki mieszczan stają, potwory trzymają się od twych wojsk z dala. Co jednak, kiedy Gorjończyków zabraknie? Czy chcesz tracić czas i ludzi na walkę z tym wcielonym złem? Czy nie lepiej zawczasu połączyć siły, zanim złe moce staną się zbyt potężne?

Burudaj już wcześniej nie omieszkał przyjrzeć się potężnemu barbarzyńcy. Nie sądził jednak, że taki osiłek zna mengucki. W istocie nie sądził nawet, że w ogóle potrafi mówić.

– Jak się zowiesz i skąd pochodzisz?

– Cairen, syn Caisonga. Menguci wołają mnie Todzi. Pochodzę z Gór Lenglongling.

Burudaj pokiwał głową i nagle coś go tknęło.

– Czy my się przypadkiem skądś nie znamy?

Barbarzyńca z szacunkiem pochylił czoło.

– Miałem zaszczyt służyć pod tobą, chanie, przy oblężeniu Dansingu.

– A tak, pamiętam... – Burudaj przez chwilę zdawał się odpływać we wspomnienia starych, dobrych czasów, ale szybko się otrząsnął i zwrócił do Yee Du-Hee.

– Twój ochroniarz właśnie słusznie wykazał, jak zgniecenie demonów przysłuży się mojemu celowi. Najłatwiej byłoby mi jednak zamknąć i spalić miasto. Jeśli mam oszczędzić Kaebong, muszę dostać coś w zamian.

Yee Du-Hee poczuł, że inicjatywa wymknęła mu się z rąk niczym głowa księcia. Próbował odzyskać grunt.

– Usunąłem z twojej drogi władcę miasta...

– ...za co Wielki Chan zgładziłby cię własnoręcznie! – syknął Burudaj. – Mam cię wynagrodzić za coś, czego sam mógłbym bez wysiłku dokonać?! Kaebong stawiał opór, czym wydał na siebie wyrok! Gdyby nie demony, już kazałbym przykładać do waszych strzech pochodnie!

Podniesiony głos chana strzaskał plany Yee Du-Hee, zanim jeszcze monotony głos tłumacza przekazał mu treść wykrzyczanych słów. Nie będzie rządów nad Kaebongiem z poparciem Mengutów. Nie będzie sieci interesów sięgającej trzech wybrzeży Półwyspu. Będzie śmierć z rąk tych prostaków, prymitywów i barbarzyńców, którzy wyroili się z ciemności i smrodu, by zadać podstępny cios starszym cywilizacjom.

Wzrok Yee Du-Hee pomknął ku głowie Park Sung-hana, walającej się między butami Mengutów. Nie leżała wciśnięta twarzą w błoto tylko dzięki sterczącym wciąż z czoła beltom. Na bladym obliczu stęzał grymas, nieubłagane przywodzący na myśl szyderczy uśmiech.

Yee Du-Hee nie żałował podjętej decyzji. Ale wiedział, że jeśli zaraz czegoś nie wymyśli, rychło poczuje żal, rozstając się z życiem.

– Chcesz, chanie, zgładzić demony – podniósł głowę i spojrzał w dziwnie rozbawione oczy Burudaja. – Ale nie wiesz, z czym się zetknąłeś. Ja wiem.

Chan patrzył nań przez chwilę z kamienną twarzą, a potem uśmiechnął się dziko.

– Wreszcie coś, czego chętnie posłucham.

– Ale najpierw chcę gwarancji.

– Jakich?

– Kaebong ocaleje, a ja zostanę imperialnym namiestnikiem.  
W oczach Burudaja rozbłysły ogniki.

– Jeśli twa wiedza okaże się tego warta, tak się stanie.

– Przyjmij nas więc jak przyszyłych sojuszników.  
Ogniki strzeliły iskrami, ale głos chana zionął chłodem.

– Na razie wystarczy, jeśli pozwolę wam wstać.  
Podnieśli się z klęczek.

– Demony te nie są w Goryo niczym nadzwyczajnym – zaczął Yee Du-Hee. – Zwą się kumiho. Spotkać je można na wielu cmentarzach, gdzie żywią się trupim jadem. Ustępują jednak i rozmiarami, i krwiożerczością owym strasznym potworom, które atakują nas dzisiaj...

– Póki co, atakują tylko was.

– Kiedy księżę Park Sung-han knuł przeciwko Imperium, zwrócił się ku dawnym księgom, a za nimi ku przedwiecznemu miastu zwanemu Starym Cmentarzem, leżącemu na północ od Kaebongu. Tamtejsze demony bowiem przez setki lat wystawione były na tajemne wpływy zamieszkującego niegdyś miasto ludu. Wiedząc, że demony czerpią największą moc z serc świeżo zabitych, jął dokarmiać je więźniami i żebrakami.

– Byłeś z księciem w lepszej komitywie, niż chciałeś się przyznać – zauważył z przekąsem chan.

– Wkradłem się w łaski księcia, dzięki czemu przejrzałem jego plan. Kiedy próba zamachu na ciebie nie powiodła się, zlecił uwolnienie demonów, by posłać je przeciwko twjej armii. Nie przewidział jednego...

– ...że demony wolą atakować Gorjończyków – dopowiedział Burudaj. – Interesująca historia, ale poza folklorem nie ma w niej nic dla mię nowego. Ani użytecznego.

– We wszystkich gorjońskich eposach – ciągnął niezrażony Yee Du-Hee – przewija się jeden motyw: zasyp źródło, a wypływające zeń strumienie wyschną. Jeśli uda się zniszczyć Stary Cmentarz, demony w Kaebongu padną, ty nie stracisz żadnego ze swych wojowników, a miasto będzie do twojej dyspozycji.

– A zatem zamiast palić Kaebong – chan pogładził się po brodzie – wystarczy spalić ów cmentarz...

– Obawiam się – Yee Du-Hee sprostował najdelikatniej jak umiał, – że tak to nie działa. Burudaj westchnął. Na jego czole pojawiła się głęboka bruzda.

– A to dlaczego.

– Legendarni bohaterowie zawsze musieli zmierzyć się ze złem twarzą w twarz, odnaleźć jego przyczynę i zniszczyć ją w zarodku, nim odnieśli sukces. Spalenie Starego Cmentarza będzie po prostu zbyt...

– ...prostackie? – przerwał Burudaj. – Prymitywne? Barbarzyńskie?

– Raczej zbyt oczywiste.

Oczy chana znów spoczęły na Todzim. Ten dziwny, milczący cudzoziemiec o menguckim imieniu wzbudzał większe zaufanie niż zdradziecki i wygadany Gorjończyk. No i dowiódł już swojej przydatności pod Dansing. Czy to nie on był w oddziale wyznaczonym do ujęcia Cesarza? Wprawdzie misja skończyła się całkowitą porażką i totalną demolką, ale mimo wszystko...

– Zwiedziłem wiele krajów – wyjaśnił zmęczonym głosem Cairen. Jemu też nie przypadły do gustu nudne wywody Yee Du-Hee. – Widziałem wiele rzeczy tajemniczych i niewytłumaczalnych. Myślę, że potrafię wyczuć, kiedy węzeł da się przeciąć, a kiedy trza go rozplątać.

– A teraz mamy do czynienia z tym drugim przypadkiem?  
Olbrzym skinął głową.

Burudaj wrócił do Yee Du-Hee.

– I znów twój ochroniarz prawi do rzeczy. Dobrze więc. Dostaniesz konie i broń i udasz się ze swymi ludźmi na ów cmentarz, by osuszyć źródło zła. Masz czas do zachodu słońca. Jeśli wtedy demony nadal będą szalały, miasto stanie w płomieniach.

– I jeszcze jedno – dodał, widząc na twarzy Yee Du-Hee ulgę. – Niech wam nie przychodzi do głowy uciekać. Konie otrzymają szczegółowe instrukcje, by trzymać się wyłącznie trasy do Starego Cmentarza i z powrotem. Jeśli będziecie próbowali gdzieś zboczyć, zrzucą was i stratuja.

Wstawał, gdy gdzieś zza jurty wypadł umazany krwią lama i podbiegł, nie zważając na kalające go plugastwo.

– Panie! Znam odpowiedź! Znam odpowiedź!

– Aa! No tak, byłbym zapomniiał. – Burudaj na powrót usiadł. – Wciąż nie wiemy, cóż takiego jest w Gorjończykach, że demony rzucają się tylko na nich. I dlaczego moi zabici wojownicy nie wstali z martwych.

Lama zrzęła mina.

– Znam odpowiedź tylko na to pierwsze pytanie...

Burudajowi również zrzęła mina.

– Dobrze i to.

– Ludzi miasta przesiąknęła woń... Woń nadająca aromat... Którego łakną potwory...

Yee Du-Hee poczuł, jak mdlący ból zrozumienia przenika go od stóp do głów.

– ...

Jego szept rozwiął się bez śladu w huraganie śmiechu.

Burudaj rechotał długo, klepiąc się po kolanach i wykonując inne gesty nie przystojące chanowi na urzędzie.

– A więc sami... sobie... jesteście winni! – parskał i prychał. – Księżę karmił demony... własnymi... rodakami... cuchnącymi czosnkiem i kapuchą... więc demonom... już nikt inny... nie smakuje! Kto wilcze doły kopie...

Yee Du-Hee zniósł impertynencje bez słowa skargi. Burudaj wreszcie otarł łzy.

– No to jedną tajemnicę mamy za sobą. Jeszcze tylko żywe trupy i wszystko będzie jasne. Thubdunie, czego ci trza, żeby i tę zagadkę wyświecić? Tylko już nie konia, bo serce się kraje, gdy grzebiesz się w bebeczach tych szlachetnych stworzeń...

Lama pokręcił głową.

– Nie, panie, nie konia. Potrzebuję łopatki i wątroby demona.

Odpowiedź zupełnie zaskoczyła chana. Oczekiwał, że lama zadowolony się starą łopatką baranią, w ostateczności koniem, a najlepiej poprosi o jakieś nieosiągalne zwierzę, której to prośbie Burudaj z żalem odmówi. Stało się jednak inaczej.

– Niech no który przyciągnie tu jakiego demoniego trupa... – przyzwolił ze zniecierpliwieniem.

Niebawem obok jurty legła przeraźliwa kreatura, którą nielitościwi Menguci naszpikowali strzałami niczym czungijski kucharz szpilami kaczkę. Thubdun kręcił nieco nosem, że niby wątroba uszkodzona, ale mars na czole chana był wystarczająco wymowny.

Lama sięgnął po nóż i klęknął nad półprzejrzystym truchłem. Nawet martwy potwór emanował grozą tak straszliwą, że cięciwy łuków drżały głośno w napięciu.

Ostrze zbliżyło się do węzlastego brzucha upiora. Thubdun zagłębił nóż tuż pod mostkiem...

...gdy wtem z nacięcia wystrzeliła macka zakończona pełną zębów paszczą i ucapiała lamę za gardło!

W okamgnieniu powietrze przecięły dziesiątki strzał, ale było już za późno. Nieszczęsny Thubdun padł na ziemię z przegryzionym gardłem i w mig wyzionął ducha.

– Wątroba jednak nie była uszkodzona – smutno pokiwał głową chan i kazał wynieść, a

potem spalić oba ciała.

– Cóż. – W głosie Burudaja słychać było szczyry smutek. – Lama Thubdun oddał mi cenne zasługi i niewątpliwie posiadał dar. Szkoda, że zawiódł go w tak przykry sposób. Zagadki nie udało się wyjaśnić. Być może odpowiedź znajdziecie na owym cmentarzu. No nic, czas wam w drogę!

– A ty, Todzi – zwrócił się na odchodne do blondyna – jak wrócisz żywy, masz u mnie pewną robotę.

Cairen skinął głową i oddalił się w ślad za oddziałem upokorzonych Gorjończyków.

Chan uwalnił się w jurcie na futrach i sięgnął po suszone mięso. Pomimo niespodziewanego skonu lamy był z siebie i całej sytuacji całkiem zadowolony.

\*\*\*

Zaklinacze jeszcze raz pokazali wierzchowcom ścielący się w oddali Stary Cmentarz, wyszeptali im do uszu ostatnie instrukcje i przekazali wodze nowym jeźdźcom. Cairen sceptycznie spojrział na swego bynajmniej nie rosnącego rumaka. Wiedział, że menguckie koniki są śmigłe i wytrzymałe; obawiał się jednak, że nogami włóczyć będzie po ziemi. Za to oręż drużyna otrzymała znacząco gorszy niż środki lokomocji. Zarekwirowawszy znakomite kusze i sztylety, Menguci pozbyli się paru wyszczerbionych noży, starych łuków i kołczanów zwichrowanych strzał. Z ciężkim sercem i ciężkim kłusem drużyna ruszyła wypełnić niewdzięczną misję w ślad za swymi wydłużającymi się cieniami.

– Todzi, tak? – burknął Yee Du-Hee, kiedy zatrzymali się przy wyrwanych wrotach.

Cairen nie zdążył odpowiedzieć, zanim ujrzał groty strzał wymierzone w swój pękaty tors.

– Znasz gorjoński, czungijski i mengucki. – Yee Du-Hee patrzył na barbarzyńcę spode łba. – Nieobce są ci obyczaje koczowników. Burudaj skwapliwie nachyla twym radom ucha. Co jeszcze masz, cudzoziemcze, do ukrycia?

– Nie więcej, niż ty ukryłeś przed chanem – odwzajemnił spojrzenie Cairen.

Yee Du-Hee zmrużył oczy.

– Uczyniłem to, żeby ratować siebie i ludzi.

– Nie inaczej postąpiłem ja. Gdybym nie przekonał chana do tej wyprawy, wszyscy już gryźlibyśmy ziemię. I jeżeli mię teraz ubijecie, sami będziecie wnet gryźć ziemię, zabici przez potwory albo Mengutów.

Yee Du-Hee kazał swym ludziom zwolnić cięciwy.

– Skąd tak dobrze znasz koczowników? – spytał niechętnie. – Walczyłeś razem z nimi?

– Walczyłem z nimi i przeciw nim. Ale nie czas na próżne rozmowy, kiedy słońce chyli się ku zachodowi. Pogadamy, jak będzie po wszystkim.

Na twarzy kaebończyka nie można się było doszukać śladu emocji. Przeżycia jednego dnia wyprały go z wszelkich uczuć. Skinął głową i nakazał wjazd na Stary Cmentarz.

To nie był cmentarz. Przynajmniej nie był nim, kiedy go budowano.

Ledwo wjechali, rzucił im się w oczy nienaturalny fenomen. Jedni, jak wojownicy z Cairenem na czele, klęli ile wlezie, inni, jak Yee, milczeli w skupionej zadumie.

Mur od środka okazał się przeźroczysty. Przez grubą warstwę złotawego z zewnątrz kamienia widać było trakt, miasto i wzgórze.

– Myślisz, że z tych budynków też nas widać? – mruknął Yee.

Cairen wzruszył bezradnie ramionami. Drużyna ruszyła stępa ku niezwykłym budowlom.

Faliste szeregi bezokiennych kopuł z takiego samego złotawego kamienia pokrywały festony mchów i liszaje porostów. Zatopione w kleistym błocie wiły się ku centrum miasta, nad którym górowała wieża. Wszędzie walały się ohydnie rozczłonkowane ciała ludzkie i

unosila złowroga aura oraz odrażający smród śmierci.

Tylko Cairen nie zasłonił nosa. Nie takie odory musiał w życiu znosić.

– Potworna walka stoczyć się tu musiała – mruknął.

– Walka potworów – stłumionym głosem potwierdził Yee Du-Hee. Cairen podążył za jego wzrokiem.

W płytkim dole spoczywało truchło demona, poobgryzane do granic nierozpoznawalności. Wokół kłębiło się panoptikum rozwleczonych i stężonych w najdziwniejszych pozach trupich ciał.

– Żywe trupy zemściły się na tym, który powołał je do istnienia – poddał wyjaśnienie blondyn.

– I marnie skończyły – skinął głową Yee Du-Hee.

– Lama nie zdążył wyjaśnić... – zaczął Cairen, ale Yee Du-Hee musiał już od dłuższego czasu rozważać problem, bo przerwał.

– Pamiętam klasyczny wiersz o zmarłych, którzy nie mogą ogrzać się w swym towarzystwie. Przeciwnie, marzną coraz bardziej. Być może starożytny poeta czerpał z ludowych legend, a te z prawdziwych zdarzeń...

– W sercu mieści się wiele energii życiowej – mruknął Cairen.

– Dość jej, by demony mogły się mnożyć. Ale niesprawiedliwie pozbawionym życia, serca i tradycyjnego pochówku zmarłym nie starcza już jej, by znaleźć i podjąć drogę w zaświaty. Przybierają więc pozór życia i szukają energii lub kogoś, kto pomoże im umrzeć jeszcze raz, a porządnie. Jeśli jednak nie trafią na żywą istotę, rzucają się na siebie nawzajem i pożerają nadaremno, tracąc więcej energii, niż jej zyskują. I gasną, by wreszcie bezpowrotnie zginąć...

– Zmarli zmarli... – Cairen pokręcił głową.

– A jeśli pożądem demona... Strach myśleć, co się wtedy z nimi dzieje.

Minęli okropne pobojowisko i wjechali między kopuły.

Wiatr przemykał cichcem po krętych uliczkach, potrząsał girlandami pleniącego się obficie obrotu, wzbijał wstrętną woń. Poza mlaśnieściami zapadających się w błocie końskich kopyt wszędzie panowała martwa cisza.

W jakiś niewyraźny sposób wszyscy wiedzieli, że ich celem jest wieża, piętrząca się w centrum miasta. Ale wiedzieli też, co oznacza taka lokalizacja.

Musieli przebyć pół miasta.

Nie zdziwili się więc, kiedy koniec końców z plugawej mazi na ich drodze i z wymęczonym jękiem dobywającym się z rozlazłych ust, podniósł się ociężałe mocno nadwyrężony trup.

Na jego zew obok wstał kolejny.

I dziesiątki innych.

– Może rzucić tę robotę i nawiać w góry – szepnął Duck-young.

Yee Du-Hee odwrócił się i jednym ciosem wybił podżegaczowi kilka zębów oraz dezercję z głowy. Widać było, że szykował się jeszcze do reprimendy, ale trupy zataczały się już coraz bliżej.

– Mierźcie w głowy, a jutro Kaebong słać będzie wasze bohaterstwo! – krzyknął i napiął łuk.

Cairen obrzucił przydziałowy nóż sceptycznym spojrzeniem. Szczęściem nadgniłe tkanki nie powinny stawiać nadmiernego oporu.

– Trza by wam ulżyć, co? – mruknął, patrząc w oczodoły zbliżających się trupów i wychyliwszy się z siodła, ściał cztery głowy jednym cięciem.

Łuki Gorjończyków i nóż barbarzyńcy zbierały zgniłe żniwo. Drużyna mozolnie parła naprzód, każdą pokonaną piędź ziemi okupując tuzinem trupich trupów. Cairenowi zabójcza kośba szła sprawnie jak zawsze; żołnierze Yee Du-Hee szybko złapali dryg. Zresztą zombie

okazały się wrogiem wymarzonemu – bezmyślnym, włączającym prosto pod ciosy, niezdolnym do jakiegokolwiek koordynacji działań.

Ale nie wolno było ich nie doceniać.

Jakiś wyjątkowo strupieszwały trup, leżący w nieświadomości i błocie, zorientował się w obecności prawdziwie żywych istot dopiero, kiedy koń jadącego z boku orszaku Dong-yula przebił go kopytem na wylot. Brutalnie wytracony ze snu, zdołał ucapić pęcinę i wgryźć się spróchniałymi zębami w ścięgno rumaka. Zwierzę kwiknęło i runęło w błoto, przygniatając jeźdźca.

Szybciej, niż ktokolwiek zdążył zareagować, trupy obaliły się na Gorjończyka i zakończyły żywot jego i jego wierzchowca, chłonąc chciwymi ustami uchodzące z dygoczących ciał życie.

Ale zbyt długo już pełzały w przeklętej ziemi, tocząc między sobą walki o okruchy energii życiowej.

Zapomniały już, że trzeba im umrzeć do końca.

Żołnierze krzyknęli gniewnie na widok strasznego zgonu kolegi. Ku napastnikom pomknęły strzały. Lecz choć trupom wciąż brak było serc, członki wypełniała im już świeża siła. Chul-moo nie zdążył naciągnąć łuku, kiedy zniknął pod ciężarem dających ogromne susy zombich.

Yee Du-Hee rozkazał jeszcze gęściej szyć z łuków, ale Cairen się zawahał. Z nieledwie manekinów ćwiczebnych trupy przeistoczyły się w maszyny do zabijania. A oni mieli tylko dziadowskie noże i nie lepsze łuki.

– Ku wieży! – ryknął.

Nie zważając na nowe gramolące się z błota zombie, drużyna ruszyła co koń wyskoczy. Za nimi wielkimi susami sadzili wzmocnieni świeżą energią nieboszczycy. Ostatni w szyku jeździec nie zdążył krzyknąć, kiedy trupy zdarły mu głowę z karku. Paniczne rżenie konia szybko umilkło w tyle.

Za którymś kolejnym łagodnym zakrętem wyrosła przed nimi wieża. Podkowy zadzwoniły o granit otaczającego ją podestu. Objechali ją galopem, tylko po to, by zewsząd natknąć się na jednakowe płyty ze złotawego kamienia, tu i ówdzie upstrzone porostami. Jeny wysoko nad głowami widniały otwory wąskich okien, po jednym na każdą stronę świata.

– Niemożliwe, żeby nie było wejścia! – pieklił się Yee Du-Hee.

Cairen zeskoczył z konia.

– Ustawcie się do strzału. Kiedy pojawią się trupy, zatrzymajcie je jak najdłużej się da.

– A ty?

– Spróbuję otworzyć wieżę od środka.

Nie tracąc czasu na dalsze tłumaczenia, podbiegł i wczepił się palcami w szczeliny między płytami. Były płytkie, ale nie na tyle, by uniemożliwić wspinaczkę.

Zwłaszcza tak wprawnemu wspinaczowi jak Cairen.

Wisiał już kilkanaście stóp nad ziemią, kiedy u wylotu ulicy pojawiły się trupy. Nie jęczały jak poprzednio, ale ich milczenie było straszniejsze niż jakiegokolwiek jęki.

Za to w najlepsze rozjęczały się cięciwy. Kaebończycy słali w skaczące potwory strzałę za strzałą. Trupy nie zbliżyły się jeszcze do podestu, kiedy Cairen złapał za krawędź okna i wywindowawszy swe potężne ciało, wsunął się do środka wieży.

Nie zdziwił się zbyt, kiedy zamiast mroku otoczyło go światło. Miał przed sobą elegancko umeblowaną, schludną salę, której ściany, sufit i podłoga były przezroczyste. Rzeźbione regały z książkami i wyściełane miękkim futrem sofy otaczały srebrzysty posąg potężnego mężczyzny z ogromną brodą i w płaszczu o delikatnie zaznaczonym geometrycznym wzorze. Ale wzrok Cairena uciekł gdzie indziej. Barbarzyńca pod sobą miał granit podestu, nad sobą niebo. Odwrócił się i spojrzął z góry na oddział Yee Du-Hee, dzielnie dający odpór podchodzącym coraz bliżej potworom. Tylko plamy porostów i miękka

cisza przypominały, że między nimi znajduje się bariera.

Zostawiwszy na później namysł nad przyczyną takiej anomalii, postąpił w głąb pomieszczenia. Jakież było jego zdziwienie, kiedy dostrzegł pod sobą ledwo widoczne schody. Zbiegł, by po chwili stanąć w kolejnej sali, niedaleko od cofających się powoli kaebończyków. Nad sobą znów miał tylko niebo, jak gdyby sala powyżej zniknęła. I nigdzie nie widział drzwi. Czyżby miał bezsilnie patrzeć, jak trupy mordują żywych jednego po drugim?

Wtem jego oczy dostrzegły zarys wejścia. Cienka linia określała zarys okrągłego otworu. Podszedł i pchnął przezroczystą ścianę.

Uszy barbarzyńcy wypełniły klątwy członków bractwa.

– Tutaj! – krzyknął.

Deszcz strzał osłabł, gdy żołnierze obejrzeni się za siebie. Yee Du-Hee w ostatniej chwili przywołał ich do porządku. Wciąż się ostrzeliwując, wycofali się ku wieży.

Jeden oddech po zatrzaśnięciu wrót w ściany uderzyły trupy. Przezroczysta tafla zmatowiała od błota i wydzielin. Jedne potwory bezsilnie szczyrzyły zęby, inne rzuciły się w pościg za uciekającymi końmi.

– Co to za miejsce? – wyjąkał Yee Du-Hee.

– Nie mam pojęcia – Cairen klapnął na sofę obciążoną lśniącem futrem nieznanego mu zwierzęcia – ale jeśli czegoś nie wymyślimy, równie dobrze będzie je można nazwać grobowcem. – Wyciągnął rękę.

Kaebończycy spojrzeli za siebie. Trupy wdrapwały się na ściany wieży. Brakowało im umiejętności i krzepkich palców Cairena, ale nadrabiały to maniackim uporem.

Nieco dalej zwieńczenia złotawych kopuł czerwieniły się krwawo. Słońce chyliło się ku zachodowi.

Nie było czasu do stracenia: Cairen wymownym gestem wskazał towarzyszom schody.

– Chung-Hee północ, Chung-Hwan wschód, Duck-young południe! – zakomenderował Lee Joo-eun i sam ruszył na górę, zając pozycję przy zachodnim oknie. Kiedy żołnierze stracali wspinające się po ścianach trupy, Cairen z Yee Du-Hee rozglądali się po wnętrzu wieży.

– Nie miałem pojęcia, że tyle tu bogactwa. – Yee Du-Hee zanurzył dłoń w złotej szkatule pełnej olbrzymich pereł. – Te sale wyglądają, jak gdyby opuszczono je wczoraj... Gdybym wiedział...

– Przyjechałbyś zdobyć bogactwo, a straciłbyś serce. – Blondyn z zaciekawieniem oglądał mapę nieznanych lądów. Rozpoznawał zarys wybrzeży Goryo i Czungii oraz wyspy Nipponii; rozpościerający się dalej olbrzymi kontynent był mu jednak całkowicie obcy. – Głupie truposze mają dość siły, żeby uprzykrzyć życie każdej ekipie łowców skarbów. A jeszcze niedawno były tu demony.

– I wciąż są, bracie – mruknął Yee Du-Hee.

Cairen odłożył mapę i spojrział za ogromny regał z książkami, gdzie stały kryształowe gabloty. W jednej z nich pośród mętnej zawiesziny pływało ciało demona.

Podeszli do rzędu pojemników. Upiór, zaplątany we własne uzębione wnętrzości, wyglądał jak ożywiony koszmar; kolejne stwory prezentowały się nie lepiej. Z narastającym obrzydzeniem mijali zakonserwowane ciała nieznanek kreatur, by przy ostatnim zakląć głośno.

– Ktokolwiek tu mieszkał, nie był normalny – chrapnął Yee Du-Hee. Cairen podsumował rzecz oburzonym splunięciem.

W półprzejrzystej cieczy pływało ciało wypatroszonego człowieka. Sądząc ze wzrostu i wyglądu, Czunga lub Gorjończyka, choć niższe czoło i grube wały nadoczodołowe nie pozwalały nabrać co do tego pewności.

Ku ich zdumieniu za rzędem pojemników znajdowało się przejście do następnej



komnaty. Przeźroczystość wewnętrznych ścian okazała się kolejną mieszającą zmysły iluzją. Choć jeszcze przed chwilą widzieli tylko kopuły sąsiednich budynków, to po wejściu otwarła się przed nimi nowa sala, przez której przeciwległą ścianę znów widać było miasto.

– Przeklęte miejsce – mruknął Cairen. – Lite mury okazują się przeźroczyste, zewsząd wyskakują trupy i komnat się nie doliczysz!

Sala była praktycznie pusta, jeśli nie liczyć stojącego pośrodku ciemnego sześcianu, który po bliższej inspekcji okazał się przykryty gęstą czarną tkaniną. Barbarzyńca wyciągnął rękę z zamiarem odsłonięcia przedmiotu.

– Poczekaj... – Yee Du-Hee złapał Cairena za ramię. – Czytałem kiedyś w rozsypującej się księdze pewien wiersz. W otchłannej klatce płonie czarny ogień...

Blondyn odczekał cierpliwie kilka chwil.

– No i? – nie wytrzymał wreszcie.

Yee Du-Hee potrząsnął głową.

– Nie pamiętam, to było tak dawno...

Nie zwlekając, Cairen zerwał zasłonę.

Gdyby wiedział, co się stanie, być może zsunąłby tkaninę powoli, stopniowo, ostrożnie. Nie oślepiłoby wtedy.

Nie oślepiłaby ich ciemność.

Komnatę zalała jaskrawa czerń. Kopuły za ścianą znikły. Rozhulał się wiatr, szarpiący wściekle ciałem obu mężczyzn. Yee Du-Hee wiedział, że krzyczy. Ale w czarnym blasku płomienia ślepy nie tylko jego oczy, ale i głuchły jego uszy.

Wtem wszystko znikło. Yee Du-Hee uniósł powieki. Barbarzyńca stał nad sześcianem, skrupulatnie opinając na nim zasłonę.

– Nie mam pojęcia, co to jest – mruczał – i nie wiem, do czego wykorzystywał to czarnoksiężnik, który musiał tu kiedyś mieszkać. Wiem jedno: jeśli to nie pomoże nam zniszczyć potworów, nie pomoże nam nic.

\*\*\*

Burudaj miał już kazać przywołać z powrotem brankę, kiedy o podest zastukały kroki gońca.

– Chanie! Demony zwracają się przeciwko naszym wojskom!

Na zewnątrz Burudajowi ukazał się obraz zgoła odmienny niż ten, który zostawił, zamykając się w jurgie. Oddziały menguckie nie stały już beczynnie przy bramie, zostawiając robotę upiorom. Teraz same się z nimi borykały. I to z różnym skutkiem.

– Wszyscy kaebończycy wyeliminowani! Demony tłoczą się na ulicach dziesiątkami tysięcy!

Chan pokiwał głową i spojrzał za siebie.

Słońce wisiało tuż nad linią wzgórz.

– Zabarykadować wszystkie wyjścia – rzucił sucho. – Przerzucić bomby zapalające. Strzelać do wszystkiego, co pojawi się na murze.

Patrząc, jak rozkazy wcielane są w życie, czuł cień zakradający się mu do serca.

Wiele sobie po wyprawie na Stary Cmentarz nie obiecywał, zresztą tarczę słońca nadgryzło już pierwsze wzgórze.

Ale tamten kaebończyk miał trochę racji. Burudaj chciał zdobyć Goryo przy minimalnych stratach po którejkolwiek ze stron. A sława podpalacza Kaebongu krzyżowała mu plany.

\*\*\*

Cairen z ciężkim sześcianem w ramionach przebiegał właśnie koło zachodniego okna, kiedy Lee Joo-eun zabulgotał boleśnie. Z pleców wąsatego mistrza kuszników wynurzyła się okrwawiona dłoń. Przebity manualnie mężczyzna upuścił łuk i wypadł wyciągnięty na zewnątrz. Podążający za barbarzyńcą Yee Du-Hee kopniakiem zepchnął gramolącego się do wnętrza trupa z powrotem, ale wtem od innego okna dobiegł kolejny krzyk. Piętro było stracone.

– Na górę! – zakomenderował Yee Du-Hee.

Cairen spojrział na sufit, przez który widniało wieczorne niebo, i wbiegł po schodach.

Komnatę, jeszcze przed chwilą niewidoczną, wypełniały książki oraz rzeźby przedstawiające brodatych mężczyzn. Na następnym piętrze stało tylko kilka krzeseł, jeszcze wyżej zaś nie było już nic. Cairen pokonywał kolejne schody, słysząc za sobą, jak ostatni żołnierze opędzają się od nawały wyjących trupów.

Nagle schody skończyły się. Salę od pomarańczowego nieba oddzielało przejrzyste sklepienie z zarysem włazu pośrodku. To musiało być najwyższe piętro. Blondyn rozejrzał się za drabiną, ale sala świeciła pustkami.

– Podsadź mię. – Yee Du-Hee od razu wyczuł, w czym problem. Ostatnia dwójka żołnierzy systematycznie dziabala nożami trupie głowy wychylające się co rusz ponad poziom podłogi. Była szansa, że jakiś czas drużyna da radę się tu utrzymać.

Yee Du-Hee stanął Cairenowi na ramionach i pchnął właz.

– Teraz ty!

Po chwili już tylko Chung-hwan odpierał ataki. Cairen podał sześcian Yee Du-Hee i Duck-youngowi.

– Macie jeszcze parę beltów?

– Trzy – odpowiedział Yee Du-Hee.

– Jak Chung-hwan znajdzie się na dachu, a ja będę się wciągał, ustrzelcie trupy, co się będą ku mię skradać!

Yee Du-Hee skinął potwierdzająco. Przez głowę Cairena przemknęła wątpliwość. Ten człowiek nie był najbardziej godny zaufania.

Ale śmierć w przeklętym mieście nie byłaby znowu tak uwłaczająca dla szanującego się awanturnika.

– Chung-hwan! Szybko!

Wąsacz wspiął się po barkach blondyna i przeszedł przez właz. Cairen podskoczył i uchwycił się krawędzi. Poczł, jak coś chwyta go za nogę i nie puszcza nawet po strzałach Yee Du-Hee. Barbarzyńca podciągnął podwójny ciężar całą siłą potężnych bicepsów i położywszy się brzuchem na dachu wieży, jął wierzgać. Mocarne stopy zagłębiły się w coś ohydnie twardego i podatnego zarazem. Kopnął znów i już wolny wciągnął umazane plugastwem nogi na dach. Właz zamknął się za nim z trzaskiem.

– Chciałbym zobaczyć ich robaczywe miny pod tym przejrzystym dachem – zaśmiał się.

– Mogą nas teraz w dupę ugryźć!

Kaebonczycy milczeli. Cairen podniósł się i obrócił.

Miasto płonęło, barwiąc wieczorne niebo gorzkim oranżem.

\*\*\*

– Byle szybko, ale nie za szybko!

Ciężka platforma z jurta chana ruszyła chybotliwie ku nieodległemu wzgórz. Żar i dym płonącego miasta był łagodzony wiatrem z północy, lecz dla bezpieczeństwa swego i ludzi Burudaj kazał był przemieścić obóz. Stał teraz przy drewnianej balustradzie platformy i patrzył na oddalające się miasto. Ogień nie sięgnął jeszcze serca Kaebongu. Najlepszy spektakl chan miał wciąż przed sobą.

Chciał sięgnąć do jurty po suszone mięso, kiedy w koleinach błysnął pomarańczowo hełm Park Sung-hana.

Burudaj zawahał się. Mógł kazać wystrzelić głowę księcia w płomienie trawiące jego rodzinne miasto. Mógł nadziać ją na włócznię i postawić przy swej jurcie. Mógł też porzucić ją w błocie na pastwę robactwa i padlinożerców.

Zniknął w jurcie, by po chwili rozsiać się na futrach i żując paski, podziwiać pożar. Szyszak księcia rozplynął się w grze światła i ciemności.

\*\*\*

– Moja teoria jest taka: błysk czarnego światła zabije trupy, a impuls czarnego promieniowania zabije demony.

Kaebończycy nie odpowiedzieli.

– Czy ktoś ma lepszą?

Milczenie. Cairen powstrzymał się przed okazaniem zniecierpliwienia. Twarde chłopcy, zabójcy, a mało brakowało, by wybuchnęli płaczem.

– Nie jedyne to przecież miasto w Goryo – westchnął. – Nawet nie największe czy najbogatsze. Takie fachury ja wy pewnikiem znajdą sobie miejsce...

– W Goryo rządzonej przez chana Burudaja – parsknął Yee Du-Hee. – Pewnie, że sobie znajdziemy. I prędzej czy później... – zgrzytnął zębami, a potem poderwał raptownie głowę.

– No to wprowadzaj tę swoją teorię w życie.

Cairen skinął z ulgą głową.

– Robimy tak: zrzucam czarny ogień z wieży. Kładziemy się plackiem. Nie wiem, co się zdarzy, ale trupy oberwą mocniej niż my. Gotowi?

Yee Du-Hee spojrział na płonący Kaebong. W jego oczach błyskały nie tylko dalekie płomienie. Skinął przyzwalająco.

Barbarzyńca przesunął zakryty wciąż sześcian w dogodniejsze miejsce, oparł oń nogi i potężnym skurczem mięśni trójgłowych zepchnął z dachu.

W jednej chwili Stary Cmentarz spowiła ciemność, a potem rozległ się huk, jak gdyby pękły wszystkie świątynne dzwony Goryo. Znikąd rozpętał się huragan. Cairen poczuł, że podmuch podrywa go z dachu. W ostatnim momencie sięgnął do włazu i uchyliwszy go złapał się krawędzi. Jego ciało wzniosło się w powietrze. Mocniej od dłoni zaciskał tylko powieki. Czerń w jego oczach też była pełna.

Ale nie była zabójcza.

\*\*\*

– Wszystko? Zupełnie wszystko?

– Zostały tylko gruzy!

Chan odprawił gońca. Wyglądało na to, że drużynie straceńców coś się udało. Może nie do końca to, o co chodziło, ale niezaprzeczalnie coś...

Kolejny goniec przybiegł spocony, jak gdyby była pełnia lata.

– Chanie! Ciała ubitych demonów zmieniają się w proch! Z miasta nie słychać już warkotu i wycia!

Burudaj zadumał się. Najpierw huk wstrząsnął kotliną, potem zwiad zamiast Starego Cmentarza odkrył tylko ruiny, a teraz te demony... Misja okazała się sukcesem.

Szkoda, że spóźnionym.

Płomienie nad Kaebongiem wzbijały się coraz wyżej. Do rana miasto nie przestanie gorzeć, a jeśli nie spadnie deszcz, to i wieczorem będzie jeszcze można podziwiać fajerwerki.

Chan przetarł piekące powieki i zdecydował, że na dziś wystarczy. Nazajutrz czekał go

rekonesans tajemniczych ruin i przygotowania do wymarszu na południe.  
Cała Goryo wciąż pozostawała do zdobycia.

\*\*\*

Światło przebiło się przez mrok zaćmiewający umysł Cairena. Kiedy otworzył oczy, urzekło go piękno wschodu słońca na błękitniejącym niebie. Rychło jednak zachwyt ustąpił osłupieniu.

Pokryty szronem wisiał wplątany w gałęzie i owinięty wokół modrzewiowego pnia, sto stóp nad szczytem wzgórza.

Kiedy oswobodził się i rozejrzał ze swego punktu widokowego, wstrząsnął nim obraz zniszczeń.

Kaebong wciąż płonął. Kolumna dymu płynęła leniwie na południe, z wyprzedzeniem i dobitnie informując kolejne miasta o bezwzględności Mengutów. Ci rozłożyli się obozem dalej na zachód. Bliżej zaś straszyły ruiny Starego Cmentarza.

Na widok porażającego pobojuwiska Cairen nie mógł uwierzyć, że wciąż żyje. Podmuchał go był przez pół kotliny i cisnął w las. Żaden węższy człowiek nie przeżyłby takiego zderzenia z pniem drzewa. Ale barbarzyńca, pomimo licznych siniaków i otarć naskórka tudzież ogólnego powykręcania, był żywy i w formie.

Wtem na sąsiednim wzgórzu dojrzał ruch.

Koń, jakimś cudem uratowany z kataklizmu. W szoku i stresie musiał zapomnieć o instrukcjach menguckich zaklinaczy.

Uradowany niezwykłym zbiegiem okoliczności Cairen czym prędzej zszedł na dół i pobiegł łapać wierzchowca. Na jego widok spanikowany zwierz czmychnął, ale nie na darmo barbarzyńca wychowywał się pośród Mengutów. Kilka umiejętnych gwizdnięć i już rumak sam podstawił mu grzbiet.

Cairen dokonał przeglądu ekwipunku. Miał na sobie cienki ubiór czarnostrojnego, gołą głowę i żadnej broni.

...jak wrócisz żywy, masz u mnie pewną robotę...

Zatrzymał wierzchowca na szczycie wzgórza i jeszcze raz spojrzął w kotlinę.

Od obozu Mengutów ku ruinom Starego Cmentarza ciągnął liczny oddział.

– Jestem już tą całą rąbaniną skonany – mruknął Cairen i zawrócił konia.